

TIBOR DÉRY

40397
F.N.B.K.47

NIKI

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI

1959

11 220 188

11 220 189 A

NIKI

Nov 14/13
THUR / 67

BIBLIOTEKA « KULTURY »
Tom XLVII

IMPRIME EN FRANCE

Wydawca : Edition et Librairie „LIBELLA”
12, rue St. Louis-en-l'Île, Paris, 4^e

TIBOR DÉRY

NIKI

Przekład z węgierskiego

Z przedmową

Gustawa HERLING-GRUDZIŃSKIEGO

INSTITUT

PARYŻ



LITERACKI

1959

PRZEDMOWA

Nie widziałem węgierskiego oryginału „Niki” z roku 1956, na którym niniejszą wersję polską oparł tłumacz w kraju. Ale przekład włoski poprzedza motto z „Agricoli” Tacyta: „Jakkolwiek Nerva Trajan pomnaża codziennie szczęśliwość czasów, i jakkolwiek spokój publiczny nie jest już tylko czczym pragnieniem i życzeniem, lecz stał się trwałą ufnością, to jednak, ze względu na słabość natury ludzkiej, lekarstwa działają wolniej od chorób. I jak nasze ciała rosną wolno lecz szybko umierają, tak łatwiej jest zabić talenty i nauki, niż wskrzesić je na nowo do życia... Czegóż chcecie, jeśli przez piętnaście lat — okres nie krótki w życiu ludzkim — wielu postradało życie za sprawą przypadku, a bardziej śmiali z winy okrucieństwa imperatora?” Chociaż cytowanie dziejopisów starożytnych w niewinnych na pozór utworach pisanych pod rządami totalizmu ma już swoją bogatą tradycję, w wypadku opowiadania Tibora Déry to wskazanie tacytowym palcem jego ukrytego sensu wydaje się zbyteczne. Ani przez chwilę czytelnik „Niki” nie będzie miał wątpliwości, że dzieje małej suczki zawierają kronikę polityczną Węgier z lat 1948-1955.

Najpierw jednak powiedzmy parę słów o autorze. Urodził się w roku 1894, a pierwsze utwory zaczął ogłaszać w roku 1917 w czasopiśmie „Nyugat” („Zachód”). W roku 1918 wstąpił do węgierskiej partii komunistycznej. Po upadku Komuny węgierskiej musiał wyemigrować i spędził dłuższy okres czasu w Austrii, w Niemczech,

we Francji i we Włoszech. Wróciwszy do kraju, żył pod rządami Horthy'ego w nędzy i ciągłych trudnościach: zamknięto go nawet na parę miesięcy w więzieniu za przekład „Retour d'U.R.S.S.” Gide'a, który wyznawcy Horthy'ego (w idealnej zgodzie z poziomem inteligencji wszystkich na świecie admirałskich, marszałkowskich, generałskich i pułkownikowskich gwardii pretoriańskich) uznali za dzieło „propagandy bolszewickiej”. W latach 1934-38 napisał powieść „Nieskończone zdanie”, którą uważa się powszechnie za jego opus magnum i która nie mogła ujrzeć światła dziennego do roku 1946. W pierwszym okresie powojennym jego sława pisarska na Węgrzech osiągnęła szczytu, ale wraz z uznaniem rozpoczęło się ostrzeliwanie krytyczne z obozu Józsefa Révai. Najpierw zaatakowano jego nowele osnute na tle oblężenia Budapesztu, potem dramat „Zwierciadło”, wreszcie wymienioną przed chwilą powieść „Nieskończone zdanie”. Bronił go gorąco Lukacs. Proza Tibora Déry stanowiła obok estetyki Lukacsa ośrodek polemik ideologicznych pod panowaniem Rakosi'ego. Następną jego powieść „Odpowiedź” jeszcze bardziej rozjuszyła „révaistów”, ale Déry odmówił wprowadzenia do niej jakichkolwiek poprawek. W roku 1953, po utworzeniu pierwszego rzędu Imre Nagy'a, odegrał pierwszoplanową rolę w „ruchu budzenia węgierskich sumień socjalistycznych”, a w roku 1956 należał do grupy głównych animatorów i mówców Klubu Petoőfi'ego. Gdy czołgi sowieckie stłumiły budapeszteńską rewolucję ludową, postanowił nie opuszczać stolicy. Aresztowano go w kwietniu 1957 roku, a w listopadzie tegoż roku skazano na dziewięć lat więzienia. Dziś wiemy o nim z zasługujących na wiarę źródeł tylko tyle, że w wieku lat 65 przeniesiono go ostatnio do więzienia Marianosztra w pobliżu Esztergom; podczas transportu miał podobno atak serca. W nowym więzieniu odebrano mu prawo pisania pamiętników i pracy nad przekładami, oraz pozbawiono go rzadkich wizyt żony. Cela, którą dzieli z Gyulą Hay'em i dwoma innymi więźniami, posiada tylko dwa stołki, a jej mieszkańcom nie wolno odpoczywać w ciągu dnia na prycach. Jest nadzieja że P.E.N.-Club, dopuściwszy do swego grona na tegorocznym kongresie w Frankfurcie delegację przystaną przez Kadara z Budapesztu, wyjedna wzamian za to

u rządu węgierskiego dla czterech więźniów te dwa brakujące stolki...

„Niki” jest ostatnim opublikowanym utworem Tibora Déry. Najwybitniejszy włoski krytyk marksistowski, Cesare Cases, opowiada (w szkicu napisanym dla dwumiesięcznika „Passato e Presente”) jak narodziło się to prześliczne opowiadanie. Déry zamierzał początkowo wykorzystać literacko drobny epizod z własnego życia, dotyczący jego suczki i służącej — starej panny w wieku przejściowym, kobiety z gruntu dobrej ale nie do zniesienia skwaszonej: suczka zaszła w ciążę a służąca, opiekując się nią przed oszczerzeniem się i potem, doglądając małych, zdołała w jakiś sposób wysublimować swoje zdławione uczucia macierzyńskie i szybko odzyskała równowagę psychiczną, dawną naturalną dobroć i uprzejmość. Déry, zaskoczony tym nagłym przeobrażeniem, chciał mu poświęcić opowiadanie, które w pierwotnym pomysle miało oczywiście nie wykraczać poza ramy studium z psychologii indywidualnej. Ale to doświadczenie przypadło właśnie na okres, gdy stary komunista z każdym dniem bardziej przepelniony był goryczą i niepokojem na widok rozwoju wypadków na Węgrzech; stosunek człowiek-pies nabrał więc zupełnie innego i bardziej złożonego sensu: zamiast naświetlić kryzys fizjologiczny kobiety, rzucił sноп światła na kryzys całego narodu oglądany oczami człowieka, w którym nadzieja ustępowała z wolna miejsca rozczarowaniu.

Pan i pies... Jest rzeczą uderzającą, że ilekroć w literaturze pojawia się to zestawienie, posiada ono charakter podskórnie przynajmniej dydaktyczny. Nawet w noweli Tomasza Manna, która miała być tylko czystą „idyllą” po wynurzeniu się z odmgłów pierwszej wojny światowej (powstała w roku 1918), interludium artystycznym w rozterce duchowej autora utrzymanym w tonacji „radosnej spontaniczności życia”, pies Bauschan staje się w końcu mentorem swego pana. „Na tym podmytym powodzią terenie, jakim jest nasze życie, żyjemy przecież dalej” — pisze Mann i spostrzega dwie rzeczy: że „zwierzęta są bardziej swobodne i prymitywne od nas, i w pewnym sensie bardziej ludzkie”; i że „łańcuch sympatii wiążący człowieka z psem okazuje się korzystniejszy dla jego dobrego samopoczucia, niż wdychana przezeń egoistyczna

wolność". Tę ostatnią uwagę nazywa Mann „morałem”, i tu dochodzimy od razu do istoty klasycznych „psich” opowieści. Zawierają one zawsze jakąś naukę moralną, której nie można wydobyć z samej tylko konfrontacji z innymi ludźmi. Słynne „Dochodzenia psa” Kafki uważane są najczęściej za symbol bezsiły człowieka w obliczu niepojętego losu, lub za alegoryczny obraz stosunku człowieka do Boga. Bliższy jednak prawdy wydaje się znakomity krytyk amerykański Edmund Wilson, gdy powiada: „Kafka określił to opowiadanie — zaczęte na krótko przed śmiercią i nigdy nie skończone — jako swojego „Bouvarda i Pécucheta”; przez co musiał mieć na myśli nie tylko to, że — jak sam zaznaczył — było to jego późne dzieło pozbawione już dawnej żywotności, lecz i to także że łączyło je coś z pogardliwym napiętnowaniem przez Flauberta małości i głupoty współczesnego świata. Żądło opowiadania Kafki tkwi w niechęci psów do przyznania że są sługami ludzi: dlatego właśnie utworzyły spisek by zataić ten fakt przed samymi sobą, i nawet najodważniejszy wśród nich myśliciel nie śmie uchylić rąbka tajemnicy w obawie że mógłby utracić poczucie własnej godności. Wygląda to znacznie mniej jak budująca alegoria na temat stosunków między Bogiem a człowiekiem, niż jak marksistowsko-flaubertowska satyra na pasożytów burżuazji”.

Podobnie dydaktyczny wydźwięk (z odcieniem „marksistowsko-flaubertowskiej satyry”, ale tym razem na pasożytów komunistycznego „państwa robotniczego”) ma „Niki”. „Niechętnie robimy porównania między człowiekiem i psem — wtrąca w pewnej chwili narrator — uważamy niemal za profanację stawianie obok siebie bezdusznego zwierzęcia i człowieka o wzniosłych uczuciach i wysokiej inteligencji. Cóż jednak spowodowało załamanie się inżyniera jak nie fakt, że niczego mu nie wytłumaczono? Ani na temat swego własnego losu, ani na inne pytania nie otrzymał wyjaśnień, chociaż — żeby się trochę górnolotnie wyrazić — wieloma sprawami przejmował się za swoich współziomków. Tak samo jak pies, głupie stworzenie niższego rzędu, nie był w stanie zrozumieć konieczności która dyktowała pewne czyny, ponieważ nie dano mu możliwości zrozumienia jej”. W opowiadaniu Tibora Déry przewijają się ciągle dwa motywy: brak wolności

i niemożność zrozumienia. Zarówno dla suczki jak dla jej państwa, małżonków Ancza, brak wolności staje się nie do zniesienia, gdy nie sposób pojąć jego przyczyn. Ale mistrzostwo pisarza węgierskiego polega na tym, że przez wprowadzenie psiego spojrzenia na sytuację, przez nieustanne porównywanie czworo- i dwunożnych reakcji na toczące się wypadki, Déry odslania upiorny nonsens komunizmu o wiele jaskrawiej i plastyczniej, niż gdyby ograniczył go do ludzkiej wyłącznie obsady ról w dramacie. Rzecz dotyka odczuć najbardziej elementarnych, jakby całkowicie i do naga wytłuskanych z obłonek polityczno-ideologicznych; brak wolności i stopniowy zanik rozumnego rozeznania w rzeczywistości stają się synonimem braku powietrza, zamulenia najgłębszych źródeł istnienia, utraty zaufania do realności i logiki otaczającego świata. Nikt dotąd nie pokazał w sposób tak zdumiewająco prosty i sugestywny zbrodni dokonywanej na człowieku, jak Déry opisując zbrodnię dokonywaną na psie. I jest z pewnością coś zastanawiającego w tym, że także Orwell — choć inaczej i z innymi aspektami sprawy na oku — musiał się uciec w swym oskarżeniu komunizmu do „Animal Farm”. Widocznie trzeba zaczynać polemikę od najniższego poziomu zwierzęcego, od przypomnienia „człowiekowi którego imię brzmi dumnie” że w dążeniu do przeobrażenia społeczeństwa nie wolno bezkarnie przekreślać samego alfabetu natury i życia. Któż, przy okazji, nie przypomni sobie co łączyło najsilniej Jurija Ziwego i Larę? „Panowanie człowieka nad naturą, kult i idolatria człowieka nie pociągały ich nigdy. Zasady fałszywej społeczności, wcielonej w politykę, wydawały im się rzeczą mizerną i żadne z nich nie było w stanie ich zrozumieć”. Oboje żyli „uczuciem satysfakcji w obliczu harmonii świata”.

Wspomniany wyżej Cesare Cases twierdzi, że dzięki postaciom olbrzymiego Molnara i małego Patyi autor „Niki” nie rozstaje się mimo wszystko w swoim opowiadaniu z wiarą w socjalizm. Nie ma powodu wątpić, że tak jest w istocie. Ale trudno nie zauważyć jak smutny, wbrew pozorom „zwrotu na lepsze”, jest końcowy akord noweli. Choć inżynier Ancza wraca w końcu z więzienia, jego żona pochyla się już ku starości na wpół złamana, a biedna suczka, nie doczekawszy się pana, leży martwa pod szafą.

Co więcej — Ancza nie wie i nigdy się nie dowie za co spędził pięć lat za kratami i dlaczego go zwolniono. To co w nim raz na zawsze pękło, jest już nie do naprawienia, jak nie do wyrównania i nie do odkupienia jest każdy bezmiar krzywdy, gdy przelewa się przez brzegi ludzkich zdolności pojmwania. „Czegóż chcecie, jeśli przez piętnaście lat — okres nie krótki w życiu ludzkim — wielu postradało życie za sprawą przypadku, a bardziej śmiali z winy okrucieństwa imperatora?”. Można być pewnym że w rok po zwolnieniu z więzienia inżynier Ancza, członek węgierskiej partii komunistycznej od roku 1919, bił się na barykadach Budapesztu.



W trzecią rocznicę węgierskiej rewolucji ludowej nie podobną bez skurczu serca myśleć o autorze tego opowiadania. Mało jest szans by sześćdziesięcioletni Tibor Déry przeżył jeszcze siedem lat więzienia. Prawdziwa Niki nie doczeka się więc chyba powrotu swego pana. Ale jeśli największy współczesny pisarz węgierski przywlecze się jednak resztkami sił któregoś dnia do domu, jedyna — jakże niestety słaba! — pociecha tkwi w tym, że jego żona nie zada mu, jak Anczowa, pytania za co trzymano go w więzieniu. A Déry nie odpowie, jak Ancza, że nie wie. Tym razem stanie się zadość odczuwanej przez człowieka potrzebie rozeznania w otaczającej rzeczywistości i zrozumienia przyczyn, dla których pozbawiono go najcenniejszego daru jaki ma do zaofiarowania życie. Gdyż autor „Niki” walczył w roku 1956 o wolność, której braku nie potrafiła znieść nawet czworonożna bohaterka jego opowieści.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Pies — na razie bezimiennie — wtargnął do życia Anczów wiosną 1948 roku.

Inżynier Janosz Ancza, wykładowca w Wyższej Szkole Górniczej i Leśnej w Szopronie, został przeniesiony do Budapesztu i od pół roku na próżno czekał na przydział mieszkania, wobec czego zmuszony był wynająć dwa umeblowane pokoje pod miastem, w Czobance, przy dojazdowej kolejce elektrycznej. Co dzień rano jeździł do biura i wracał dopiero wieczorem na kolację, którą żona — z braku kuchni — przygotowywała na maszynie elektrycznej. Pies zjawił się po raz pierwszy także wieczorem.

O ile można się było zorientować przy zapadającym zmierzchu, był to chyba mieszaniec ostrowłosego i zwykłego foksteriera. Zupełnie gładka sierść porastała zgrabny tułów : był bielutki, bez najmniejszej nawet plamki ; tylko brązowe uszy podkreślone czarnymi krechami rzucały się w oczy. Jak zwykle skłonna do figlów natura ozdobiła każde ucho inaczej : z lewej strony brązowa plama schodziła aż do oka, podczas gdy biel prawej strony pyska była nieskalana ; za to czarna krecha zaczynająca się u nasady prawego ucha, jakby chcąc zabawnie zrównoważyć biel tej strony pyska, sięgała daleko na kark poza miejsce, gdzie nakłada się obrozę, tworząc tu dość prawidłowy kwadrat — o ile w ogóle twory natury mogą mieć kształt prawidłowego kwadratu lub innej figury geometrycznej. Wyobraźmy sobie do tego dwa błyszczące czarne ślepie przy górnym boku trójkątnego, wydłużonego pysz-

czka, i w dolnym kącie równie błyszczący czarny nosek, robiący wrażenie umazanego pastą do butów. Nieco ogólnie i pobieżnie, ale odmalowaliśmy wdzięczne stworzenie, które przysiadło naprzeciwko Anczy.

Inżynier przez jakiś czas uważnie przyglądał się psu, który siedząc na tylnych łapach, z podniesionym łbem, patrzył mu prosto w oczy.

— A ty czego ? — spytał w końcu Ancza.

W głosie pies wyczuł widocznie odcień sympatii, gdyż podniósł się, obszedł siedzącego i obwąchał mu nogi. Z opuszczonym łbem, najpierw z prawej a potem z lewej strony tak głęboko wciągał jego zapach, że małe rozedrgane nozdrza zupełnie się zwały. Ancza czekał cierpliwie, aż pies zapozna się do woli z tą najbardziej dla niego zrozumiałą emanacją człowieka. Widocznie zapach równie swojsko przemówił do psiego serca, jak przedtem brzmienie głosu. Zwierzę znowu stanęło przed inżynierem i wspiąwszy się na tylne łapy, przednimi oparło się o uda siedzącego.

Przy tej sposobności można było stwierdzić, że jest to suczka i że ma rzadką białą bródkę, co niewątpliwie zdradzało powinowactwo z ostrowłosym foksem. Potwierdzały to także białe brwi sterzące nad ślepiami jak splecione druty, ale łapy, mimo zapadających ciemności, wydawały się nieco za długie i zbyt cienkie. Inżynier schylił się i pogłaskał suczkę po łbie.

Od tej chwili los Anczów został przypieczętowany. Wyprzedzając trochę dalsze wypadki powiemy tylko, że mimo wszelkich sprzeciwów i stanowczych zastrzeżeń, po jakimś czasie pies definitywnie się do nich przeniósł. Zastrzeżenia miały podłoże wyraźnie teoretyczne i z pewnością dlatego nie osiągnęły żadnego skutku. Oboje kochali zwierzęta, szczególnie psy : ponieważ jednak stracili jedynego syna pod Woroneżem, a ojciec Anczowej zginął w czasie bombardowania, zdawali sobie doskonale sprawę, że miłość jest nie tylko wzbogaceniem duszy, ale także ciężarem, że proporcjonalnie do swych rozmiarów ożywia człowieka, lecz równocześnie go przytłacza. Mąż przekroczył już pięćdziesiątkę, żona miała czterdzieści pięć lat — nie chcieli już brać na siebie nowych obowiązków. Zresztą nie mogło być mowy, by w takich warunkach

mieszkaniowych trzymać psa, a tym bardziej przygarnąć z ulicy sukę, właśnie młodą suczkę, której przyszłe macierzyńskie perypetie też musiałyby im przysporzyć kłopotów.

Ancza wywołał z mieszkania żonę, zajętą właśnie zmywaniem statków. Wtedy suczka — która, jak później wyszło na jaw, wabiła się Niki — rozpoczęła chytre umizgi; ośmieliły ją widocznie sympatyczne brzmienie głosu i zapach inżyniera, no i naturalnie fakt, że pogłaskał ją po łbie, co zupełnie słusznie mogła uważać za zachętę. Ze sprytną i pełną wdzięku kokieterią, na jaką stać tylko samice, w jednej chwili roztoczyła wszystkie czary ukryte w małym zgrabnym ciele i wesołym usposobieniu, jakby całe jej życie i przyszłe losy zależały od decyzji, która zapadnie w ciągu najbliższego kwadransa. Najpierw szczeniła, potem jak szalona pognąła pędem wokół trawnika ścielącego się przed domem. Białe tułów to wyciągał się jak struna, brzuchem niemal szorując ziemię, to znów wyginał się w kabłąk na kocią modłę: raz po raz z szybkością błyskawicy okrążała Anczów, jakby chciała ich zamknąć w zaczarowanym kole, z którego nigdy już nie pozwoli im się wydostać. Czasem, w najszybszym biegu, zawracała tak nagle, że pęd powietrza niemal ją zginał w pół, albo też zakreślała wymyślną pętlę, jakby chciała zmylić goniącego ją prześladowcę; potem, ujadając triumfująco, zataczała w przeciwnym kierunku szybkie koła wokół małżeńskiej pary, której zaczynało się kręcić w głowie od patrzenia na to kołowanie. Najzabawniejsze były nagle podskoki, przy których suczka odrywała jednocześnie wszystkie cztery łapy od ziemi i odbijała się prostopadłe w górę, niczym rozbrykane kozłátko: każdy taki podskok w psim rozumieniu jest doskonałym żartem, czymś co w obecnej gwarze nazwać można „dobrym kawałem” i co u psiej publiczności wywołać by musiało wybuchy szalonego śmiechu. Anczowa, jak każda kobieta, bardziej bezpośrednio od mężczyzny odczuwała naturę, toteż kilka razy głośno się roześmiała.

Teraz suczka przypadła do nóg Anczowej. Dyszała głośno, wywiesiła język i nieruchome spojrzenie błyszczących czarnych ślepi wpiła w twarz kobiety. Żona inżyniera z uśmiechem schyliła się by ją pogłaskać, a wtedy suczka

nagle przewróciła się na grzbiet i bezwstydnie machając w powietrzu łapami, wystawiła do podrapania różowięjący pod białą sierścią brzuch z dziewięcioma czarnymi guzikami sutek.

Anczowa wyniosła glinianą miseczkę z mlekiem. Tymczasem zupełnie się ściemniło, toteż inżynier zapalił w mieszkaniu światło. Suczka — która w myślach małżeńskiej pary wciąż jeszcze była bezimiennym stworzeniem — wychleptała mleko i wyruszyła w podróż odkrywczą. Obiegła i obwąchała domek wraz z dobudowaną na tyłach letnią kuchnią, potem nagle puściła się biegiem do furtki. Przysiadła jeszcze na skraju rowu, żeby się załatwić, przy czym jakby na pożegnanie zwróciła łeb w stronę Anczów. Po chwili szybko pokłusowała w lewo i zniknęła na szosie wiodącej do Pomazu.

Już w tym miejscu należy zaznaczyć — gdyż jest to ważne dla całego dalszego przebiegu opowiadanych wypadków — że do wzajemnych stosunków między psem a przyszlými jego opiekunami wkradł się jakiś dwuznaczny element, który po obu stronach, ale głównie po stronie państwa Anczów, wykazywał pewne niezdrowe rysy. Według wszelkiego prawdopodobieństwa — o ile możemy polegać na naszej znajomości zwierzęcej duszy — suczka, posłuszna podszeptom wrodzonego egoizmu, puściła w ruch całą swoją przebiegłość; aby pozyskać przychyłność Anczów przedstawiała się z najlepszej strony. Zamiast „przychyłość” moglibyśmy powiedzieć „miłość”, co byłoby pomniejszeniem jej winy, o ile szczere przywiązanie połączone z egoistycznym celem wolno uważać za winę. Bo czy w ogóle może istnieć miłość bez egoistycznych rysów? Gdyby zaś istniała, co byłaby warta miłość człowieka, który sam by się nie spalał, aby coś z siebie dać? Prawda, suczka wykorzystywała wszelkie atrybuty i wdzięki właściwe swej płci, aby zdobyć miłość i moc się miłością odwzajemnić, ale sądzimy że nawet patrząc na to pod kątem najsurowszych praw ludzkich i społecznych, nie można takiego postępowania uważać za niemoralne. Pewnego drobnego oszustwa można by się co prawda doszukać w fakcie, że podpisywała się tylko swymi zaletami maskując słabości, ukrywając wady, tajemnicę czyniąc z tego, że jest ciężarna. że kiedyś zachoruje

i umrze — ale czy każdy prawdziwie zakochany nie chwyta się przynajmniej takich wybiegów, wyruszając na podbój raju ? Jeśli może być w ogóle mowa o czyjejkolwiek winie, to leżała ona raczej po stronie Anczów, którzy, chociaż obdarzeni wyższą inteligencją, nie umieli dopatrzeć się w psim zachwycie domieszki kokieterii, tej odrobiny sztuczności, za pomocą której interesowność upiększa uczucie ; a może nawet i dostrzegali, ale postępowali tak, jakby to było w zupełnym porządku. Oni to, mimo pozorów że rękami i nogami bronią się przed wszelkimi więzami uczuciowymi, w istocie z miejsca poddali się urokowi świadomego swych celów psa. Oni to dobrowolnie zaangażowali się w grę, którą w głębi duszy od samego początku uważali za przegraną. Okazali się od razu gotowi zamienić czystość swej samotności na uczuciową grę, żalobę po synu na małą rozrywkę — jednym słowem miejsce po synu oddali psu... Szkoda jednak tracić na to więcej słów ; jedno jest pewne : opalizująca cienka żyłka niezdrowego rysu tu wzięła swój początek. Naszym bowiem zdaniem, jeśli w stosunku między człowiekiem a zwierzęciem wchodzi w grę wina, winnym jest zawsze człowiek.

Nazajutrz suczka znowu się zjawiła, co do minuty niemal o tej samej porze co poprzedniego dnia : Anczowa zmywała statki po kolacji, inżynier zaś, siedząc przed domem, rozkoszował się świeżym powietrzem. Trzeciego dnia okazała więcej przebiegłości, gdyż przybiegła przed kolacją. W ciągu następnych kilku dni zjawiała się także punktualnie, jakby chodziło o zaproszenie na dyplomatyczne przyjęcie, a pod koniec tygodnia zaczęła wycze kiwać na autobus, którym Ancza codziennie wracał do domu ; przystanek znajdował się o jakieś sto kroków od furtki. Poznawała inżyniera, gdy tylko ukazywał się na stopniu autobusu, ale dla pewności najpierw od tyłu obwąchiwała mu nogi, a dopiero potem wykonywała na jego cześć serię radosnych podskoków ; z taką lekkością odbijała się od ziemi, że łatwo mogła dosięgnąć piersi słusznego wzrostu mężczyzny, a wywieszonym z roześmianego pyska jęzorem niemal liżała mu wąsy. Możemy przy tej sposobności już teraz zaznaczyć, że przez całe życie wzbudzała podziw tymi susami. Wzbijała się w powietrze ze zwisającymi do tyłu uszami, machając przed-

nimi łapami jak pływak — tak wysoko, że gdyby chciała, mogłaby najwyższemu przyjacielowi oblizać wąsy ; później, kiedy ze swym panem lub panią chodziła na spacerzy nad Dunaj, tymi skokami zawstydziała najroślejsze nawet wilczury. Jej muskularne, ruchliwe ciało robiło wrażenie, że od wewnątrz poruszane jest jakąś radosną sprężyną ; skakała jak piłka, z matematyczną dokładnością trafiając do obranego celu. W małym serduszkuszku kryła się tygrysia wręcz odwaga.

Chociaż Anczowie nie mieli najmniejszego zamiaru brania suczki do siebie, dowiedzieli się jakoś — czy to od któregoś z sąsiadów, czy też od praczki lub listonosza — w każdym razie nie dopytując się o to, że właścicielem jej jest emerytowany pułkownik armii Horthy'ego mieszkający w trzeciej willi na lewo ; pułkownik z żoną i matką borykał się z trudnościami materialnymi i nie bardzo dbał o psa. Przy tej sposobności Anczowie dowiedzieli się także imienia suczki. Mimo to, chcąc niejako uniknąć zbytniego spoufalenia i wynikających zeń obowiązków, w dalszym ciągu mówili między sobą tylko o „psie”, starannie unikając imienia, jakie suczka nosiła. Do mieszkania w ogóle jej nie wpuszczali, żeby się przypadkiem nie przyzwyczaiła. Zresztą uspokajający był objaw, że z reguły pies po zjedzeniu kolacji wracał do domu swego pana.

Pewnego dnia wyjaśniło się w jaki sposób suczka zakradała się do ogrodu wówczas, kiedy nie miała jeszcze zwyczaju oczekiwania inżyniera na przystanku autobusowym. Była właśnie niedziela i Ancza spędził wyjątkowo cały dzień w Czobance. Około południa suczka nagle ukazała się za żelazną sztachetą zamkniętej furtki. Wzdłuż ogrodu, równolegle do ogrodzenia, biegł po zewnętrznej stronie szeroki rów zarośnięty pokrzywami, nad którym przy furtce przerzucony był mały drewniany mostek. Kiedy suczka dostrzegła przez sztachety inżyniera, stanęła jak wryta, jakby wszystkie cztery łapy wrosły jej nagle w ziemię ; po prostu nie dowierzała własnym oczom. Stała tak dłuższą chwilę, całym ciałem wyrażając bezgraniczne zdumienie, które u człowieka maluje się przeważnie w rysach twarzy. Ale i białe pyszczek z czarnymi błyszczącymi ślepiami miał niesłychanie głupi wyraz pod wpływem zaskakującego odkrycia, że doświadczenie i logika też

mogą sprawić zawód. Nigdy jeszcze w ciągu dnia nie widziała inżyniera w domu.

— Patrzcie państwo jak się dziwi ! — powiedział Ancza i głośno się roześmiała.

Na dźwięk znajomego głosu, który potwierdził wrażenie wzrokowe, suka otrząsnęła się z bezdennego zdumienia. Raz szczeknęła i z szybkością błyskawicy podbiegła do furtki, potem przecisnęła się pod nią przez wąską szparę, w miejscu gdzie było małe wgłębienie gruntu. Najpierw wsunęła łeb i przednie łapy, potem przepchnęła wciągnięty brzuch i spłaszczony zadek, wreszcie na drugą stronę przedostały się wierzgające zadnie łapy i krótki muskularny ogonek. Radość, z jaką witała niespodziewaną obecność inżyniera, nie miała wprost granic.

Po obiedzie jednak z należnym szacunkiem, jakby nie chciała nadużywać gościnności gospodarzy, opuściła ogród. Pod wieczór Anczowie wybrali się na spacer. O sto kroków od domu dostrzegli suczkę warującą obok przystanku : siedziała na tylnych łapach i wytrwale oczekiwała nadejścia pomaskiego autobusu.

Nie zauważyła ich, gdyż wpatrywała się w przeciwną stronę ; Anczowie postanowili jej nie wołać : wspólny spacer byłby jeszcze jedną nicią wzmacniającą więzy i tak łączące ich już z psem. Kiedy jednak wieczorem wrócili do domu, suczka czekała w ogrodzie i niezliczonymi skokami powitała nadchodzących. Widocznie odzyskała teraz zaufanie do logiki : jeśli inżyniera nie było w autobusie, to w każdym razie prędzej czy później odnajdzie się w pobliżu domu. Ancza natomiast robił sobie wyrzuty, że odczuł w okolicy serca zbyt dużo ciepła na widok psa, który jakby czekał na powracających do domu własnych państwa.

Minął jeszcze tydzień i wtedy spostrzegli, że suczka jest ciężarna. Brzuch jej się zaokrąglił i opuścił nieco ku ziemi, ale przede wszystkim z dnia na dzień trudniej jej było przeciskać się przez szparę pod furtką. Pierwsza zwróciła na to uwagę Anczowa. Upewniwszy się po kilku dniach o słuszności swego spostrzeżenia, podzieliła się nim z mężem ; Ancza postanowił, że trzeba wreszcie rozstać się z psem. Nie chciał, by ta niezdrowa zażyłość jeszcze bardziej się pogłębiła.

Właśnie w owej chwili suczka przepychała się przez zagłębienie pod furtką. Ancza wyszedł jej naprzeciw, otworzył furtkę i wskazując wyciągniętą ręką na zewnątrz, wypraszał ją niejako z domu. Suczka z zaciekawieniem spojrzała na wyprostowane ramię i kilkoma radosnymi susami usiłowała chwycić zębami rękaw. Dźwigany w brzuchu ciężar zwiększał najwyraźniej siłę przyciągania ziemi, toteż nie mogła dosięgnąć rękawa. Ancza ostro krzyknął i ponownie wskazał wyjście. Zwierzę pod wpływem tonu głosu, jakiego dotychczas jeszcze nigdy nie słyszało, spojrzało zdumione, potem przysiadło na tylnych łapach i uważne spojrzenie czarnych ślepi z powagą wlepiło w twarz inżyniera.

Suczka w żaden sposób nie chciała zrozumieć, że ją wyrzucają z ogrodu. W końcu jednak przestraszyła się okrzyków, głośnego klaskania i ostrego głosu, ale widać było, że nie może pojąć, czym na to wszystko zasłużyła. Trudno było uwierzyć, że inżynier chce jej bez powodu zrobić krzywdę, postanowiła więc zaczekać, aż minie jego nieuzasadniony gniew i powróci zwykły dobry nastrój: nie ruszała się z miejsca. Spuściła uszy, podwinęła pod siebie ogon, skurczyła się w sobie na ile tylko pozwalał powiększony brzuch, i błagalnym wzrokiem wpatrywała się w Anczę; gdy inżynier zbliżał się z groźną miną, cofała się powoli albo odskakiwała w lewo lub w prawo, ale nie wyszła za furtkę. Kiedy na chwilę przestawał ją wyganiać, drżąc na całym ciele i ze zjeżoną sierścią zastygała w bezruchu i prosząco patrzyła mu w twarz. Ancza miał uczucie, że prosi go o przebaczenie za winę, której nie popełniła. Kiedy w końcu zrobił ruch, który każdy pies poznaje atawistycznie będąc jeszcze w łonie matki — kiedy się schylił i podniósł kamień, — suczka z cichym skowytym natychmiast zawróciła i z podwiniętym pod siebie ogonem biegiem uciekła z ogrodu.

Zatrzymała się jednak na mostku i spoza zatrzaśniętej furtki patrzyła na oddalającego się inżyniera. Po jakimś kwadransie Ancza przypadkiem wyjrzał przez oszklone drzwi: pies siedział przed samym progiem, na ostatnim stopniu wiodących na ganek schodków, i bez ruchu wpatrywał się w wejście do mieszkania. Kiedy skrzyżowały się ich spojrzenia, suczka spuściła uszy, zawróciła i zeszała

ze schodów. Powłokła się do furtki i z westchnieniem przywarła do ziemi, z łebkiem złożonym na przednich łapach.



Nazajutrz jednak, jak zwykle, warowała na przystanku autobusowym i tak wysoko skakała na powitanie Anczy, jak tylko na to pozwalał jej odmienny stan. Widocznie już mu wybaczyła, że nie chciał jej przebaczyć. Co właściwie powinien jej być przebaczyć? Chyba to, że nie urodziła się człowiekiem. Ten pierworodny grzech, największy w dziejach świata, zwierzęta mogą okupić tylko tym, że od nominalnego władcy świata, człowieka, kupując sobie prawo do życia. Jedno zwierzę tłuszczem lub mlekiem, inne siłą, inne znowu urodą podniecającą ludzkie zmysły. Ale w roku 1948, na zniszczonych przez wojnę Węgrzech, które chudymi resztkami posiadanych zasobów usiłowały zbudować ludowi nowe i zupełnie innego rodzaju schronienie, młody i zupełnie bezużyteczny foksterier czym mógł sobie zaskarbić łaskę człowieka? Mógł tylko błagać o litość, ale i litości nie dostawało w spustoszonej kraju.

Tymczasem suka, którą słusznie możemy uważać za mniej lub więcej bezpańską, niezmiennie dzień w dzień oczekiwała przyjazdu inżyniera na przystanku autobusowym i witała go takimi samymi wybuchami radości. Nie otrzymując w zamian żadnej zachęty, w drodze do domu wlokła się cicho za Anczą z podwiniętym ogonem, czekała aż przed jej nosem zatrzaśnie się furtka, potem stękając przeciskała się przez coraz węższą szparę. Usiłowania Anczy by ją przepędzić w dalszym ciągu nie odnosiły skutku, a brutalniejszych metod w postaci kopniaka czy kamienia nie chciał i nie potrafiłby zastosować. Raz w złości nazwał ją tylko „paskudną, uprzykrzoną bestią”.

Nazajutrz suczka nie zjawiła się. Trzeciego dnia także nie czekała na przystanku. Tego wieczoru Ancza, który ostatnio z powodu nawału pracy nie wracał o zwykłej porze, lecz grubo po zapadnięciu zmroku, rzucił w czasie kolacji żonie pytanie, czy suczka nie dała znaku życia. Anczowa z uśmiechem kiwnęła przecząco głową. Na ten usmiech inżynier mógłby tak odpowiedzieć:

„Nie ma na świecie większej i bardziej podstępnej tyranii od miłości. W połączeniu z czułością i bezradnością

przewycięży nie tylko niechęć, ale nawet obojętność. Człowiek nie potrafi wyzwolić się z jej przemocy, zwierzęciu też rzadko się to udaje. Żadnej broni nie można przeciwko niej użyć, gdyż nie uznaje nawet zaprzeczenia. Pamiętaj również, że zwierzę jest nieme i nie może bronić swej sprawy, a to jest broń straszniejsza od najbardziej nieodpartych argumentów. Bo jak odpowiedzieć na milczenie, które atakuje nie tylko mój punkt widzenia, ale samo moje istnienie ?

I cóż mógłbym przeciwstawić temu milczeniu ? Że nie wierzę w szczerość przywiązania kogoś, kto nie znając mnie za cóż może mnie kochać ? Pies odparłby — jeśli by mnie w ogóle uznał za godnego dyskusji — że mnie zna, skoro mnie obwąchał. Znalazł we mnie to, czego potrzebuje jego uczucie by się przywiązać. Miłość nie potrzebuje powodów ; gdyby było inaczej stałaby się przedmiotem targów.

Mógłbym najwyżej powiedzieć suczce, że jedynym obowiązkiem człowieka, wypływającym z prawa natury, jest wydanie na świat potomstwa, i że byłoby z mej strony oszustwem zastąpienie psem dziecka. Jestem jeszcze w pełni sił męskich, i nie byłoby mi trudno postarać się o jedno lub dwoje zdrowych dzieci. Brak dzieci mam okupić posiadaniem absolutnie bezużytecznego foksteriera ? A patrząc na rzecz od strony tego bezużytecznego foksteriera, czyż mogę go upokarzać tym, że nie jego będę naprawdę kochał, lecz to w nim czego mi brak ? Czy mogę mu narzucać słaby odblask uczucia, płynący z przepełnionego kim innym serca, w miejsce ciepłego promienia miłości, na jaką zasługuje ? Jasne, że wytworzyłyby się między nami niezdrowy z obu stron stosunek. Zresztą uważam za narzucanie się sam fakt, że bez pytania i bez pozwolenia wciska się do mego życia i zadaje mi gwałt nieszlachetną bronią miłości, przeciwko której nie umiem się bronić. Podstępnie zdobywa sobie w moim sercu miejsce, którego mi później zabraknie. Mam i tak dosyć kłopotów i trudności, wcale nie mam ochoty moich sił, a raczej uczuć, marnotrawić dla natrętnej, nieznosnej bestii''.

Jak widzimy, Ancza nosił w sobie dokładny i wzbudzający zaufanie obraz zasad moralnych, obowiązujących człowieka, a ich stosowanie rozciągał na wszystkie żywe istoty. Zdawało mu się że ponosi w stosunku do zwierząt

i roślin taką samą odpowiedzialność, jak w stosunku do swych bliźnich. Należy przypuszczać, że niejednokrotnie w życiu wpadał w zastawioną przez siebie samego pułapkę i szamotał się w niej romantycznie, wymachując rękami i nogami, by wydobyć się na zewnątrz... no ale cóż, każdy buduje jak umie własny raj i własne piekło.

Pies naturalnie o tym wszystkim nie wiedział, a gdyby nawet wiedział, to najwyżej popatrzyłby na inżyniera z takim samym zdumieniem jak wówczas, kiedy Ancza wyrzucał go za furtkę. Zresztą w tym okresie suczka była zajęta czym innym. Przez trzy dni wcale się u Anczów nie pokazała. Nagle znowu się zjawiała — był właśnie czwartek — już dobrze po przyjeździe autobusu, którym zresztą inżynier tego dnia nie wrócił do Czobanki. W marcu dni stały się już wyraźnie dłuższe. Anczowa przed zmierzchem siadła w ogrodzie i czekając na męża czytała książkę. W pewnej chwili za sztachetami furtki ukazała się suczka. Bez wysiłku przecisnęła się przez szparę, która przecież nie stała się szersza, i podbiegła do ganku. Na mgnienie oka zatrzymała się przed Anczową. Pokazała wyszczupłą kibić, raz i drugi z wdziękiem przeparadowała jak modelka na pokazie mód, potem szybko zawróciła w stronę furtki, przecisnęła się na drugą stronę i wyciągniętym klusem pobiegła drogą w lewo. Widocznie nie chciała swoich szczeniąt zbyt długo pozostawiać samych i nawet nie zdążyła szczegółowo wypytać, jak się miewa inżynier.

Ancza tego dnia wcale nie wrócił do domu, całą noc spędził w biurze, a w Czobance zjawił się dopiero następnego wieczoru. Miał jednak tyle nowin, że było już późno po północy, kiedy żona zdołała mu opowiedzieć o wizycie suczki.

Właśnie upaństwowiono zakłady produkcyjne zatrudniające ponad stu ludzi i Janosz Ancza otrzymał nominację na dyrektora Fabryki Maszyn Kopalnianych. Ancza pochodził z szalgotariańskiej rodziny górniczej; ojciec jego był rębaczem, toteż syn wydawał się godny zaufania, mimo że sam należał już do inteligencji. Dyplom inżyniera uzyskał w dziewiętnastym roku w Akademii Górniczej w Szelmecu, i chociaż w czasie dyktatury proletariatu, w tymże 1919 roku, jako jeden z pierwszych wstąpił do partii komunistycznej, został w końcu, po dziesięciu latach biedowania, profesorem Akademii Górniczej w

Szopronie. Po wybuchu wojny, pod koniec 1939 roku, wstąpił do Partii Socjaldemokratycznej.

Upaństwowienie wielkich zakładów przemysłowych i otrzymanie nominacji na dyrektora fabryki Ancza uznał za punkt zwrotny w swoim życiu. Jego poczucie przyzwoitości domagało się uporządkowania wszystkich niezałatwionych spraw, które z lenistwa lub braku stanowczości pozostawiał w zawieszeniu : dopiero potem zamierzał spokojnie i z całą energią zabrać się do nowego zadania. Jedną z tych niezałatwionych spraw było uregulowanie stosunku do psa. Doszedł do wniosku, że w niemej walce toczącej się między nim a psem został pokonany, toteż poprosił żonę, by poszła do właściciela dowiedzieć się, czy zechce go odstąpić i za jaką cenę. Na tym postanowieniu zawazyło niewątpliwie zabarwione czułością opowiadanie żony, która z iście kobiecym wzruszeniem opisała ostatnie odwiedziny suczki. Wyobraźnię Anczowej poruszyła głównie niewinna kokieteria suczki — jej dumna mina, gdy paradowała przed ławką i wdzięczne ruchy modelki chcącej zwrócić uwagę na zgrabną, znowu szczupłą figurkę.

Rzecz jasna, i to wzruszenie wywodziło się z owego niezdrowego uczucia, jakie w bezdzietnej parze małżeńskiej budziło młode stworzenie. Ale w chwili gdy na inżyniera czekały nowe wielkie zadania, a może właśnie z powodu tych zadań, jakoś sam się z tego rozgrzeszał. Tłumaczył sobie, że sztywne trzymanie się zasad, jeśli zawiera w sobie cechy okrucieństwa, staje się nieludzkie a nawet wrogie samemu życiu.

Następnego dnia po południu Anczowa odwiedziła emerytowanego pułkownika. Ten, choć od dawna chciał się pozbyć bezużytecznego foksterierka (otrzymanego w spadku po jakimś uciekającym na Zachód krewnym), dał komunistce Anczowej wymijającą odpowiedź ; obiecał był rzekomo psa komu innemu i zaproponował, by wstąpiła za jakiś tydzień dowiedzieć się czy go już zabrano. Podczas tej rozmowy niewiele nowych danych wzbogaciło wiadomości o życiu suczki. Anczowa dowiedziała się tylko tyle, że na ona najwyżej półtora roku i że wszystkie szczeniaki z wyjątkiem jednego zostały zabite. Wracając przez ogród pułkownika, na próżno rozglądała się za suczką. Niki czekała już przed domem. Wbrew zwyczajowi, wszystkiego parę razy podskoczyła na powitanie, potem szybko zjadła

chleb wdrobiony do mleka i zaraz popędziła do ostatniego szczenięcia.

W nocy Anczowa, czekając na męża, zastanawiała się nad różnymi rzeczami i czuła bolesny skurcz w młodym jeszcze sercu. Przyszło jej na myśl pytanie, czy instynkt zwierzęcia zdolny jest do liczenia, a przynajmniej do odejmowania i dodawania. Czy suka spostrzega, gdy spośród pięciu szceniaków zabierają jej jednego? A jeśli zabierają jej dwa? Trzy? A jeśli tylko jednego jej zostawiają? Czy uderza ją tylko mniejszy ruch dokoła, słabsze skomlenie i pisk, mniej mycia i to, że jedna sutka wystarcza do karmienia?... A może zdaje sobie sprawę, ile małych brakuje? Bo cóż warta jest miłość macierzyńska — choćby tylko z punktu widzenia dążącej do utrzymania gatunku natury — jeśli zadowala się resztkami, mając prawo do całości? Nazajutrz przed południem Anczowa przypadkiem przechodziła obok posiadłości pułkownika. Niedaleko ogrodzenia, w słońcu, leżała na trawniku suczka; ułożyła się na boku i nieco wzniesioną tylną łapą podtrzymywała białą, puszystą i czarno nakrapianą kulkę. Szczeniak, dopomagając sobie energicznymi ruchami łapek i cienkiego ogonka, znęcał się nad jedną sutką niczym pompa ssąca. Suczka spostrzegła przechodzącą, uniosła łeb i spod białych rzęs wlepiła w nią błyszczące spojrzenie czarnych ślepi, a na powitanie kilka razy machnęła ogonem. Wydawała się zadowolona, spokojna i szczęśliwa. Anczowa westchnęła i poszła dalej.

W ciągu następnych kilku tygodni Anczowa częściej widywała suczkę i nieraz nawet odbywały wspólne spacer; osierocona czworonożna matka nie straciła nic z dawnej ochoty do życia. Dopiero później chodziła przez dwa-trzy dni jakaś nieswoja i osowiała, kiedy odebrano jej ostatniego szczeniaka, którego pułkownik podarował przyjacielowi z Sentendre, posłowi do parlamentu z ramienia partii drobnych posiadaczy.



Nowy rozdział życia Niki rozpoczął się w dniu, kiedy inżynier po raz pierwszy zawołał ją po imieniu. Jak już wspomnieliśmy, dotychczas Anczowie nawet między sobą nazywali ją „psem”, a w najlepszym razie skróconą nazwą

rasy „foxi” ; jej imię własne najwyżej parę razy wymknęło się z ust Anczowej i to dopiero wtedy, kiedy dzięki cierpliwości natrętwu psa stosunek zaczął stawać się bardziej poufały. Formalnie jednak imię Niki weszło do słownika pary małżeńskiej po zalegalizowaniu praw do psa. Pułkownik co prawda nie odstąpił im suczki, wołał ją pospiesznie dać w prezencie jakiemuś gospodarzowi z drugiego końca wsi, który dał się namówić na przyjęcie dobrego szczurołapa. Po dwóch dniach jednak Niki uciekła stamtąd, a że pułkownik przepędził ją ze swego ogrodu, pobiegła prosto do Anczów. Za dziesięć forintów została wykupiona od nowego właściciela.

Przedtem jednak Anczowa pojechała do Pesztu, na plac Rudolfa — noszący dziś nazwę placu Marii Jasai — gdzie partia komunistyczna przydzieliła im mieszkanie. Trzeba było sprawdzić, czy jest w pobliżu odpowiednie miejsce na spacer z psem, czy Niki będzie miała gdzie się wybiegać. Przed domem znajdował się niewielki skwerek, ale bawiły się na nim stale gromady dzieci ; o wiele lepszą, a nawet idealną psią promenadą był sam bulwar nad Dunajem, skąd rozciągał się uroczy widok na przeciwległy brzeg z budajskimi górami, atrakcyjny nawet dla ludzkiego oka. Mieszkanie jeszcze nie było gotowe, gdyż z większego robiono dwa, i według obliczeń Anczowej nie mogło być mowy o przeprowadzce przed czerwcem, a może nawet lipcem, tak że całą wiosnę i początek lata mieli jeszcze spędzić w Czobance.

Zalety i wady suczki — tak pod względem charakteru jak i fizyczne — wyszły na jaw dopiero przy intymniejszym współżyciu. Inżynier niewiele o nich wiedział, gdyż co drugi lub trzeci dzień nawet na noc nie wracał do domu, a kiedy zjawiał się w Czobance był tak wyczerpany i zaprzątnięty sprawami służbowymi, że najwyżej dla żony znajdował jakieś czulsze słowo lub pełne troski spojrzenie. Psa dostrzegał tylko w niedzielne popołudnia, bo rano także przesiadywał w fabryce.

W takie to niedzielne popołudnie suka popisała się kiedyś wyczynem, który stanowił dowód jej zręczności, siły, odwagi i wytrzymałości. Wyszli na spacer między uprawne pola ścielące się po okolicznych wzgórzach i w pewnej chwili z ładu pszenicy wyskoczył nagle zajac. Właściwie nie zajac, lecz szara błyskawica, która na

mgnienie oka wynurzyła się spośród falujących kłosów, mignęła białą plamą pod ogonem i zniknęła w zielonej toni, która natychmiast się nad nią zamknęła. Pies na ogół wszystko spostrzega i goni to, co przed nim ucieka. W tym wypadku nie widok zająca podniecił Niki, gdyż nigdy dotąd w życiu zająca nie widziała ; ale szybkie zniknięcie szarej błyskawicy puściło instynktownie w ruch łapy suczki. W następnym ułamku sekundy i ona utonęła w zbożu.

Długo nie dawała znaku życia. Anczowie chwilę postali, potem ruszyli dalej. Przeszli już spory kawałek drogi, kiedy dosłyszeli dalekie ujadanie, które zbliżało się w szybkim tempie. Najpierw wypadł na stok wzgórza zając ; w rzadkiej trawie rosły tam niskie krzaki głogu i dzikiej róży rzucające pod siebie ciemne plamy ażurowego cienia. O kilka metrów za zającem z gąszcza akacyjnych krzewów wystrzeliło wyciągnięte jak struna ciało psa. Gnany strachem, szarak pędził prosto na polną drogę, którą szli Anczowie. Przystanęli ; zaskoczenie i niemal radosne oczekiwanie nie tylko zahamowało ich kroki, ale wstrzymało im nawet oddech w piersiach. Wrośnięci w ziemię, śledzili zbliżającą się jak wichher pogoń. Niki pędziła z niewiarygodną szybkością na swych nieco przydługich łapach, które w każdym szanującym się hodowcy foksterierów wzbudziłyby ironiczny uśmiech ; biegła ogromnymi susami, z każdą chwilą zbliżając się do uciekającej ofiary. Lekko spadzista otwarta przestrzeń także jej dopomagała. Kiedy rozpędzony zając dopadł drogi tuż przed nogami Anczów i długim susem przesadził rosnące na skraju gęste pokrzywy, kobieta aż krzyknęła z podniecenia : zaledwie jeden skok oddzielał psi nos od zadartego ogona szaraka ; poczuli zapach spoconej sierści bijący od zziąjanego prześladowcy. Inżynier łagodnym, uspokajającym ruchem ujął rękę żony : — Nie bój się, to stary doświadczony zając, nie da się złapać.

Co prawda jedynym bohaterem tego opowiadania jest całkowicie dla społeczeństwa nieużyteczny pies, luksusowa zabawka, Anczowie zaś są tylko dodatkiem i występują w małoznacznej, drugorzędnej roli — toteż nie jest naszym zadaniem szczegółowe opisywanie stanu duszy inżyniera. Trzeba jednak stwierdzić, że w tej chwili jego męską duszą szarpały dwa sprzeczne uczucia : z jednej strony

dyktowane poczuciem człowieczeństwa pragnienie, by wrażliwości żony nie uraził widok rozszarpanego zająca ; z drugiej — wzbierająca w głębi całego jestestwa dzika żądza ujrzenia, jak łowca dopadnie swej ofiary, jak skoczy jej do gardła, powali na ziemię, przegryzie charczącą krtkań i stanąwszy przednimi łapami na martwej zdobyczy, wywieszonym czerwonym jęzorem zacznie lizać ściekającą posokę. To zupełnie pierwotne pragnienie musnęło tylko jego świadomość, nie zostało nawet w myśli sformułowane, a w każdym razie nie wywarło żadnego wpływu na jego poczucie moralne, czego najlepszym dowodem jest to, że gdy szarak przesadził tuż u jego stóp pokrzywy i w następnej chwili zniknął w jakimś wgłębieniu gruntu, Ancza z wyraźną ulgą dwa razy ścisnął kurczowo rękę żony.

Przepowiednia inżyniera, że stary doświadczony zając wywiedzie w pole młodą suczkę, naturalnie się sprawdziła. Wyścig wiatronogich biegaczy przeniósł się teraz na drugą stronę drogi ; widok wyciągniętych jak struny ciał, ich harmonijne płynne ruchy, robiły raczej wrażenie wyuczonego pokazu baletowego niż walki na śmierć i życie. Po chwili jednak zając zdobył niespodziewanie przewagę, której pies nie mógł już nadrobić. Na skraju gęstych zarośli szarak nagle zakreślił pętlę, przebiegł obok rozpędzonego psa i potężnym susem czmychnął między krzaki. Jeszcze przez dłuższą chwilę słychać było coraz bardziej oddalające się ujadanie Niki, ale stało się już jasne, że chytra sztuka pozbyła się ostatecznie głupiego prześladowcy. Suka dopiero w dobre pół godziny później wróciła do swych państwa, zdyszana, z wywieszonym jęzorem, kulejąca na tylną łapę i z głupią miną, jakby wstydziła się poniesionej porażki.

Ale ten zły humor i uraza, które może słuszniej wypadłoby nazwać fizycznym i duchowym znużeniem, nie trwały długo. Już po kilku minutach zdołała z niezmiernego rezerwy młodości zaczerpnąć tyle sił i radości życia, że pole ożyło wprost wokół niej, jakby całym swym mikrokosmosem, każdą najmniejszą drobiną, chciało wciągnąć sukę do zabawy. Tu jaszczurka swym szmaragdowym ogonkiem przyciągała czarny, węszący nos, tam przelatująca ważka zmuszała do skoku, to znowu bąk stroszył czujne psie uszy. Ciepły popołudniowy wiatr raz mierzwił jej sierść na ogonie, a raz dmuchał w rozdziawioną mordkę

pod ociekający śliną jęzor. Pszczoła przelatywała z brzękiem przed nosem i w takt swego kpiącego jazzu zmuszała psi pysk do dzikiego kłapania. Potem nastała cisza, owa upalna letnia cisza, kiedy się wydaje, że słychać szmer sunącego po trawie cienia ; w tej ciszy musiał się odezwać jakiś głos nieuchwytny dla ludzkiego ucha, bo pies nagle przystanął, zjeżył sierść i długo, żałośnie zawył jakąś chromatyczną gamę śmierci. Anczowa spojrzała trochę przerażona. Ale już po chwili pies odzyskał poczucie ufnej młodości i skacząc jak kozioł wszystkimi czterema łapami jednocześnie, usiłował chwycić wznoszącego się jak helikopter chrabąszcza.

Zdrowie zawsze pociąga człowieka, niezależnie od tego w jakiej, choćby najcodzienniejszej, formie się objawia. Historia Niki nie jest właściwie niczym innym, jak opowiadaniem o jej zdrowiu. Znajdujemy się teraz w tym okresie życia suczki, kiedy wdzięk młodości uzupełnia jej idealny stan zdrowia i kiedy podoba nam się w niej to właśnie, czego jej brak : późniejsza doskonałość ciała i duszy. Zbyt zamaszyste, niezdarne ruchy, którymi przegapia upatrzony cel, zachłanna ciekawość zmuszająca do wsadzania nosa w każdą dziurę, choć często parskając musi zaraz odskoczyć, niezręczność, niezaradność, papranie się w błocie — to wszystko zawiera w sobie pierwiastki późniejszej doskonałości i siły, jest tak pogodne i budzące ufność, że nieraz nawet doświadczoną i zgorzkniałą starość potrafi przekonać o bezpodstawności złowieszczych wycia.

Ciepłe letnie popołudnie, które powoli przeradzało się w zmierzch, jaskrawymi barwami malowało pagórkowatą okolicę i wzmagало radość życia młodej suczki. U jakiegoś źródelka z głośnym mlaskaniem zaspokoila pragnienie i stała z perlistymi kroplami chłodnej wody ściekającymi z brody. Raz i drugi szczeknęła, jakby chciała wyrazić swe zadowolenie. Od strony najwyższego okolicznego wzgórza powiał chłodniejszy wietrzyk i zaszeleścił krzakami. Niki zamarła w bezruchu, przekrzywiła łeb i czujnie zastrzygła uszami, potem obszczekała szeleszczące liście. Wszystko musiała obejrzeć i zbadać, niezmordowane muskularne ciało ani na chwilę nie szukało wytchnienia, a jeśli na мгновение oka zatrzymywała się z wdzięcznie podniesioną przednią łapą, wsłuchując się w odgłosy świata, wilgotne nozdrza poruszały się tak szybko i z takim podnie-

cenieniem, jakby chciała wszystkie wonie i aromaty posegregować i zapamiętać. Widać było, że rozpiera ją radość życia.

Inżynier także czuł się doskonale. Obecny okres jego życia tak był podobny do tego co przeżywała suka, że choć stawał się szpakowaty a nawet trochę łysiał, od jakiegoś czasu odkrywał na świecie coraz nowe rzeczy i czuł, że nie tylko sam się nimi wzbogaca, ale może je także obrócić na pożytek bliźnich. Praca dawała mu zadowolenie i chociaż wyrastały przed nim znaczne trudności techniczne i jeszcze większe psychologiczne, jego opanowany męski zapał wzrastał proporcjonalnie do stojących przed nim zadań. Budowanie nowego społeczeństwa podniecało w równej mierze jego miłość do ludzi i zawodową wyobraźnię.

Poczucie szczęścia promieniące od zwierzęcia i jemu się udzielało, z uśmiechem śledził zachłanną ruchliwość suczki. Kiedy zawrócili w stronę domu, gwizdnięciem przywołał ją do siebie : pierwszy raz w życiu ! Niki hasała po grzbiecie dość odległego wzniesienia ; przystanęła na sztywnych łapach, przekrzywiła łeb i spojrzała na wijącą się niżej drogę. Na drugie gwizdnięcie popędziła na łeb na szyję w dół i zakończyła bieg tak dzikim skokiem radości, że niemal przewróciła swego pana. Ancza uspokajająco pogłaskał ją po łbie i wymówił jej imię. Pełne wdzięczności spojrzenie, jakie w odpowiedzi suczka utkwiała w twarzy pana, było jakby ostatnim uczuciowym akordem, który zakończył ten pamiętny letni spacer.



Wspomnieliśmy już, że z chwilą gdy Niki na stałe wprowadziła się do Anczów, rozpoczął się nowy rozdział jej życia. Należy to rozumieć jako rozwój uczuciowy i umysłowy. Widać było, że młoda suczka miała już pewne pojęcie o wzajemnym stosunku pana i psa, czego dowodem gotowość do posłuszeństwa na gwizdnięcie inżyniera. Czy jednak jej pierwszy przybrany pan, przywykły do wydawania rozkazów pułkownik, nie zaszczepił wrażliwej psinie jakiejś przesadnej historycznej dyscypliny, czy jej łagodne usposobienie nie zostało wypaczone jakimiś nawykami szorstkiego wojaka ? Ancza przy jednej okazji

nazwał ją „nieznośną natrętą bestią” a poza tym wiemy, że Niki z wzruszającym uporem i konsekwencją szła własną drogą, kiedy chodziło o zjednanie sobie przychylności wybranego pana. Czy jednak i w codziennym życiu zachowała zdrowe zwierzęce poczucie własnej godności? Pewne fakty świadczyły, że była zastraszona: nieraz na przykład bez powodu ogarniało ją przerażenie i kryła się po kątach — szczególnie wtedy, kiedy w pobliżu rozlegały się podniesione głosy albo krzyki. Pewnego razu pułkownik przechodził drogą w większym towarzystwie głośno perorując, i na dźwięk jego głosu Niki z podwiniętym pod siebie ogonem umknęła za dom.

Dowiedzieliśmy się już o inżynierze, że miał niczym nie uzasadnione poczucie odpowiedzialności, którym obejmował nie tylko bliźnich, ale także zwierzęta i nawet zwierzęte pod opiekę rośliny. Jeśli przyniósł kiedy do domu doniczkę pelargonii, dbał o ustawienie jej w przewiewnym i słonecznym miejscu, o regularne podlewanie i fachowe obchodzenie się z nią. Jeśli rodzinne stosunki łączyły go z jakimś zwierzęciem, starał się nie tylko o jego fizyczne zdrowie, ale szanował również jego osobowość. Drobną, nic nie znaczącą osobą Niki od pierwszej chwili została otoczona taktowną opieką. Wiemy, że na ogół utrzymywanie porządku jest rzeczą słuszną, jeszcze bardziej w czasach rewolucyjnych niż w ustabilizowanych okresach historii, ale Anczowie byli zdania, że nadużywanie posłuszeństwa czy to w stosunku do człowieka, czy w stosunku do zwierzęcia, jest niepotrzebne nawet z punktu widzenia porządku. Nigdy w domu nie pogwałcono samodzielności suczki w imię głupiego upojenia władzą. Nigdy się nie zdarzyło, by dla kaprysu albo z małostkowej chęci zemsty ktoś wdarł się w krąg jej własnego życia. Naturalnie w rodzinie Anczów nie mogło być mowy o niechęci czy niezyczliwości, ale rzadko, a może nawet nigdy się nie zdarzyło, by przez lekkomyślność lub brak zastanowienia ktoś zmuszał Niki do rzeczy nie usprawiedliwionej interesem ich małej wspólnoty. Nadużywanie władzy, ten rak toczący każdego monarchę, wodza, dyrektora przedsiębiorstwa, naczelnika wydziału, sekretarza, pastucha bydła i trzody chlewnej, każdego ojca rodziny, wychowawcę i starszego brata, każdego dojrzalego i młodego człowieka, któremu podporządkowane są

inne stworzenia obdarzone duszą — ten smród, choroba i zaraza nie znana żadnej innej krwiożerczej bestii, to przekleństwo i bluźnierstwo, wojna i dżuma — nigdy nie zagościło w domu Anczów. Swobody Niki bez powodu nikt tu nie ograniczał. Łagodny krąg dyscypliny, w który dla dobra wspólnoty została taktownie wciągnięta, był jasny i zrozumiały, w każdym punkcie uzasadniony wyraźną koniecznością.

Dla utrzymania tej dyscypliny Anczowie nie stosowali środków przymusu. Nie bito psa ani kijem, ani ręką, ani nawet głosem, a tam gdzie nie mógł dotrzeć wiedziony swym ciasnym rozumem foksteriera, prowadzono go na luźnej smyczy życzliwości. Od pierwszej chwili Niki z zaskakującą pojętnością i chętnie przyjmowała wszelkie polecenia swych państwa, nawet takie, których spełnienie było niezwykle trudne. Na przykład zakaz upominania się o jedzenie przy stole, co ludzie wyrażają zwrotem „nie bądź natrętny !”, musiał w oczach Niki zdawać się zdumiewająco bezsensowny. To że jej państwo jedzą sami, i to długo i dużo, przy czym jedno z nich nawet czasem mlaska, ona zaś z burczącym żołądkiem musi czekać póki nie włożą do ust małych białych pałeczek, nie przyłożą do nich żółtego płomyczka i nie zaczną dmuchać cuchnącym dymem — to wszystko inny pies, chytrzejszy niedowiarek, tłumaczyłby sobie w ten sposób, że jego państwo zjadają co najlepsze, a jemu zostawiają tylko ochłapy. Ale zaprzeczeniem takiego wyjaśnienia był fakt, że na zieloną polewaną miseczkę kładziono przeważnie najsmaczniejsze kęsy — kości ! Równie niezrozumiałe było to, że ludzie od czasu do czasu uganiali się za jakąś tłustą, głośno z przerażenia gdaczącą kurą, łapali ją i zabierali, psu natomiast bronili tej wspaniałej zabawy. Zupełnie bezsensowny i despotyczny był zakaz uganiania się po pewnej określonej, zarośniętej zielenią części ogrodu i załatwiania tam swoich potrzeb, przy jednoczesnej zgodzie na to, by pies nabiegał się do woli po innych, równie zielonych zakątkach ogrodu. Ze wszystkich zakazów jednego Niki w żaden sposób nie mogła pojąć, zupełnie nie mieścił jej się w głowie, a nawet budził pewne wątpliwości co do zdrowego rozsądku jej państwa : czemu pozbawiano ją największej przyjemności, jaką jest tarzanie się w gnijącej padlinie, która przecież ma taki rozkoszny zapach !

Ten zakaz musiał się chyba wywodzić z jakichś prastarych ludzkich zabobonów i łączyć z jakimś mistycznym stanem duszy, przy którym człowiek od czasu do czasu zatracą trzeźwy pogląd na różne sprawy.

Ale młoda suczka przyswoiła sobie nawet takie prawa domowe, które są po prostu naigrywaniem się ze zdrowego rozsądku, a swoje żalosne wątpliwości wyrażała tylko w ten sposób, że siadała u stóp pana i zdumiona wlepiła w niego wzrok spod białych brwi, wpatrując mu się w twarz bez mrugnięcia, nie troszcząc się o to, czy na nią patrzy czy nie.

Biorąc ogólnie możemy stwierdzić, że Anczowie przygarnęli pojętną i porządną suczkę, która — jak widać — bez trudu przystosowała się do obowiązujących w ich domu zasad moralnych.



Do Budapesztu przenieśli się w pierwszej połowie października, a więc w dobre trzy miesiące po dacie, jaką przewidywał pogodny sceptycyzm Anczowej. Kiedy bowiem murarz skończył swoją robotę — o wiele później, niż obiecywał — trzeba było trzy tygodnie czekać na malarza ; ale i wtedy nie były jeszcze gotowe prace instalacyjne hydraulika i elektryka — toteż pomalował tylko połowę mieszkania i potem przepadł na dłuższy czas. Szklarz wstawił dwie stłuczone szyby, ale o dwóch zapomniał, a posadzkarz stłukł jeszcze dwie. Elektrownia nie włączyła licznika, a z Gazowni nie można było zdobyć kuchenki. W ubikacji nie spływała woda. A w pierwszym tygodniu po przeprowadzce urwały się dwie rolety.

Pies, który na swoje szczęście nie brał udziału w tych podniecających przygotowaniach, stanowiących rozkoszne przeżycie tylko dla człowieka, prędko przyzwyczaił się do nowego mieszkania, njeco wolniej natomiast i z pełną zdumienia ciekawością zapoznawał się z miejskim otoczeniem. Łagodny system wychowawczy Anczów dopomógł mu jednak do wejścia w nowe życie bez większych wstrząsów.

Niki znalazła się w świecie zupełnie różnym od tego, jaki znała dotychczas. Przez pierwsze dni chodziła po ulicach z podwiniętym pod siebie ogonem. Zawarła znajomość ze smyczą. Zniosła to stosunkowo lekko, przy-

puszczamy nawet, że chętnie się z tym godziła, gdyż smycz stanowiła bezpośrednie fizyczne połączenie z człowiekiem i dawała poczucie względnego bezpieczeństwa. Tego rodzaju poczucie było jej widocznie bardzo potrzebne, a że nie wystarczało jej to jakie zapewniali Anczowie, usiłowała poszerzyć je i wzmocnić nieustannym, energicznym, dzikim wprost ujadaniem. Szczekaniem dodawała sobie odwagi, tak jak to czyni muzyką wojsko wyruszające na front. Im bardziej się bała, tym wścieklej ujadała. Kiedy zadzwonił obok niej tramwaj, przerażona, nerwowo odskakiwała pod najbliższy mur i stamtąd już odważnie szczekała za oddalającym się pojazdem. Na sztywno rozstawionych przednich łapach, z poziomo wyciągniętym ogonem, drząc na całym ciele, tak krwiożerczo ujadała, jakby chciała gnać, pędzić za wrogiem — dusiła się niemal w obroży, szarpiąc napiętą smycz. Tak samo szczekała na przejeżdżające konne wozy, osobno na konia, osobno na wóz, ale jeśli przypadkowo wóz zatrzymywał się obok chodnika przerażona uciekała do najbliższej bramy, niemal wywracając swą panią. Samochody także usiłowała przepłoszyć, ale stosunkowo mniej się ich bała niż konnych zaprzęgów. Co do tych ostatnich jednak, wytworzyła sobie pewną hierarchię, gdyż o wiele bardziej szanowała olbrzymie meklemburskie konie, należące do państwowych przedsiębiorstw, niż chude umęczone szkapy stanowiące własność prywatną, ciągnące ładunek obdrapanych gratów do nowego mieszkania jakiejś biednej rodziny. Ale za to głośno oszczekiwała rowery, szczególnie wtedy kiedy dzwoniły, a także przechodniów, jeśli było ich wielu albo zbyt głośno rozmawiali; oszczekiwała psy, koty i wróble; w stosunku do zwierząt stosowała taką samą metodę autosugestii jak szekspirowscy wodzowie przed bitwą — oszczekiwała wszystko, czego się bała. W dzień ujadała na błysk światła odbijający się w otwieranym oknie, wieczorem oszczekiwała cienie. Oszczekiwała całą stolicę. W tych pierwszych dniach musiała się czuć podobnie jak młoda wiejska dziewczyna, która prosto z małej wioski trafiła nagle do wielkiego miasta.

Mniej więcej w tydzień po przeprowadzce do Pesztu inżynier przejął w swe ręce wychowanie psa, a raczej przystosowanie go do życia w nowych warunkach. Miał teraz dość czasu, bo przestał chodzić do biura. W połowie

października usunięto go bez uprzedzenia ze stanowiska dyrektora Fabryki Maszyn Kopalnianych i na razie nie skierowano na inne. Decyzja ta zaskoczyła go tak, jakby nagle, po dwudziestu ośmiu latach szczęśliwego pożycia, opuściła go żona, tym bardziej że władze nie poparły tego kroku żadnym uzasadnieniem; krążyły natomiast różne plotki, którym Ancza nie chciał wierzyć. Otóż jeszcze w sierpniu zwolnił w drodze dyscyplinarnej pewnego urzędnika z awansu społecznego, który podobno „miał chody” u jakiegoś wysokiego funkcjonariusza partyjnego; ten ostatni „wygryzł” rzekomo inżyniera, wystawiając mu ujemną opinię personalną, co dało podstawę do działania gorliwemu departamentowi właściwego ministerstwa. Nie ma potrzeby podkreślać, że inżyniera zgubiło opisane już wyżej przesadnie skrupulatne pojmowanie odpowiedzialności. Owo godne Don Kiszota uważanie za zbrodnię o rozmiarach słonia byle świństewka wielkości komara i nazywanie złodziejem tego, kogo przyłapał na kradzieży. Wydalony urzędnik sprzeniewierzył zaledwie cztery tysiące forintów i wyniósł z fabryki jakieś części wartości około dwóch tysięcy, ale Ancza ze śmieszną gorliwością — mimo interwencji z ministerstwa — nie był w stanie zatuszować tej komicznie wprost drobnej sprawy, na którą każdy trzeźwo myślący realista machnąłby po prostu ręką. Zupełnie niezrozumiały upór... szkoda w ogóle o tym mówić.

Ponieważ Ancza nie dawał wiary pogłoskom, pochodzącym wyraźnie z niezycziwych źródeł, nie załamał się z powodu utraty stanowiska, chociaż sprawa ta głęboko go zraniła. W sobie szukał winy i błędów, i jak każdy uczciwy człowiek znalazł ich z tuzin. To wnikanie w samego siebie odbywało się przeważnie w czasie długich spacerów nad Dunajem, które robił w towarzystwie psa. Tutaj ani tramwaje ani samochody nie denerwowały Niki, mogła dowoli puszczać wodze swej wyobraźni i wyrabiać sobie mięśnie, zawierając przy sposobności pożyteczne znajomości z psami różnych ras i różnego stanu. Sam bulwar był co prawda brukowany, a więc mniej przystosowany do szybkiego ganiań z wiatrem w zawody niż wzgórze Czobanki, ale idąc dalej w górę rzeki, za kościół, spotykało się tu i ówdzie niezabudowane piaszczyste parcele porośnięte zardzewiałą trawą i anemicznymi akacjami.

Październik był w tym roku ciepły, łagodny jesienny zapach wody splukiwał zadymione powietrze miasta, a z drugiego brzegu rudziejące stoki budajskich gór słały swoje pozdrowienie wonią gnijącej podściółki. Pod wieczór, gdy zapalały się uliczne lampy, wody Dunaju kołysały ich odbicie, a jeśli dzień był wietrzny, rozczesywały ich blask na drgające złote błyski, które z pluskiem uciekały do brzegów. Nieraz w tych wieczornych spacerach brał udział nowy znajomy, to znaczy nowy dla psa, gdyż był to dawny bliski przyjaciel inżyniera. Ogromny, niemal dwumetrowego wzrostu, miał kulistą czaszkę pokrytą jasnymi, krótko przystrzyżonymi włosami, które nigdy nie znały kapelusza, szeroki mięsisty nos i odstające uszy; były to przedziwne uszy, obdarzone jakby specjalnymi mięśniami, którymi ich posiadacz umiał dowolnie poruszać w lewo i w prawo, w przód i w tył, czym potrafił rozśmieszać nie tylko dzieci, ale i co naiwniejszych dorosłych. Któregoś dnia przyłączył się do inżyniera w chwili, gdy Ancza wychodził z bramy na wieczorny spacer. Widok olbrzymiej postaci przeraził Niki. Odskoczyła w tył, cofając się zeszła aż na jezdnię, i zgodnie z poznaną już metodą stosowania autosugestii, zaczęła nieprzytomnie ujadać.

Mężczyzna odwrócił się, przez chwilę w milczeniu przyglądał się rozsierdzonej psinie i spytał inżyniera:

— Twoja suczka?

W ciągu całego wieczornego spaceru, który nastąpił po przytakującej odpowiedzi Anczy, nie wiele więcej powiedział; te dwa słowa zresztą cytujemy tylko po to by przekonać czytelnika, że nowy znajomy nie urodził się niemową. Wincenty Molnar — tak się bowiem nazywał — pracował przedtem jako górnik w szalgotariańskim zagłębiu węglowym, i to dłuższy czas w brygadzie starego Anczy, dopóki nie został przez partię skierowany w 1947 roku do Pesztu na wieczorny uniwersytet, a jednocześnie jako doradca do działu konstrukcyjnego Fabryki Maszyn Kopalnianych. Z Anczą znali się od dzieciństwa, a teraz w fabryce mocniej zadzierzgnęli luźne więzy chłopięcej przyjaźni.

W ciągu całego wieczornego spaceru Molnar wypowiedział najwyżej pięćdziesiąt słów. Był to zresztą pierwszy wypadek, że wybrał się w odwiedzin do inżyniera. Można

z tego wysnuć wniosek, że swoim towarzystwem — jeśli w ogóle samą obecność jego fizycznej masy można uważać za towarzystwo — chciał przyjacielowi okazać współczucie z powodu doznanych przykrości. Widocznie nie pomyślał o tym, że jego przełożeni mogą niechętnym okiem patrzeć na kontakty z będącym w niełasce inżynierem, a jeśli nawet taka myśl zaświtała mu w głowie, to należy sądzić, że się tym nie przejmował. W ciągu następnych tygodni odwiedzał byłego dyrektora fabryki co dwa lub trzy dni.

Niki z trudem się do niego przyzwyczajała. Dopóki spacerowali po bulwarze, miała tyle różnych zajęć, że niewiele zwracała na niego uwagi; kiedy jednak wraz z inżynierem usiedli na schodkach prowadzących w dół ku rzece, podbiegła i obwąchała mu spodnie.

Molnar, opuściwszy wielką głowę, bez słowa przyglądał się suczce. Niki w dalszym ciągu obwąchiwała mu nogi. Wszystko to odbywało się w zupełnym milczeniu. Po chwili, kiedy Niki podniosła wzrok na twarz mężczyzny, Molnar poruszył uszami. Najpierw z góry, na dół, potem w poprzek.

Suczka wrosła w ziemię, a Molnar swoim zwyczajem milczał. Kiedy jednak po raz drugi puścił uszy w ruch, zjeżyła sierść i cicho wyjąc zaczęła się wolno cofać. Molnar przestał ruszać uszami. Niki jakiś czas podejrzliwie mu się przyglądała, potem ostrożnie, podnosząc uważnie łapy jakby stąpała między ostrymi kołkami, znowu się zbliżyła. Wyglądała jak wcielenie pełnej napięcia czujności. Łeb wyciągnęła naprzód, ogon sztywno wyprostowała, brązowe uszy, zwykle miękko zwisające, nadstawiła tuż przy łbie, a czarne ślepia bez mrugnięcia badawczo wlepiła w twarz mężczyzny. Molnar po raz trzeci poruszył uszami.

Skutek był nieoczekiwany. Suka wyjąc, jak wyrzucana z procy odskoczyła na sam brzeg rzeki, zawróciła, i z podwiniętym ogonem, zwiesiwszy uszy, z oznakami najwyższego psiego przerażenia, jakie wzbudzić może w duszy jedynie groza wiecznego potępienia, na łeb na szyję popędziła przed siebie. Przepadła jak kamień rzucony w wodę. Mężczyźni jeszcze chwilę posiedzieli na schodkach, po czym ruszyli na jej poszukiwanie. Słabo oświetlone nadbrzeże było bezludne, nie dochodziły tu żadne odgłosy, tylko od czasu do czasu dzwonienie tramwaju na nieda-

lekiej ulicy Pożońskiej, albo trąbienie samochodu. Ancza gwizdaniem przywoływał suczkę, potem na cały głos wykrzykiwał jej imię. Szukali dobrą godzinę, ale ani sły-
chu ani dychu. Należało przypuszczać, że kiedy oprzytomniała po przeżytym wstrząsie, sama wróciła do domu, toteż inżynier pożegnał się z przyjacielem, który oddalił się jedną z przecznic. Ancza bulwarem poszedł w stronę domu. Zbliżał się już do skweru, kiedy usłyszał za sobą miękkie drobne kroczki ; po chwili suczka dopędziła go. Wyglądała na zmęczoną, sierść miała nastroszoną i zwieszony ogon. Widocznie sprytnie się ukryła, wypatrzyła aż obcy odejście, dla pewności odczekała jeszcze czy przypadkiem nie wróci, i zjawiła się dopiero wtedy, kiedy poczuła się zupełnie bezpieczna. Ancza nie pogniewał się o tę przygodę, która mu dała sposobność lepszego poznania inteligencji suczki. Wydarzenie to dowodziło, jak głęboką znajomość człowieka posiadała Niki, skoro zdołała zaobserwować, że ludzie nie poruszają na ogół uszami.

Trzeciego dnia Molnar znowu się zjawił, ale tym razem przyszedł prosto na bulwar. Niki nie zauważyła jego nadejścia, gdyż właśnie ścigała się z jakimś starym spanielem ; pies nie był zbyt szybki, toteż Niki zabawiała się w ten sposób, że wyprzedzała go, nagle zawracała, i jak na urągowisko przeskakiwała przez swego współzawodnika. Kiedy znudziła jej się ta zabawa, mężczyźni już siedzieli na schodkach. Radośnie do nich podbiegła. Była nieco krótkowzroczna i w pierwszej chwili nie poznała Molnara ; podbiegła ufnie, obwąchała mu nogi i dopiero wtedy z przerażeniem odskoczyła.

Molnar nawet nie drgnął. Zbyteczne dodawać, że się także nie odezwał. Niki jakiś czas podejrzliwie mu się przyglądała, potem położyła się u stóp swego pana i stamtąd uważnie obserwowała głowę obcego. Molnar siedział bez ruchu z opuszczoną głową. Nagle kilka razy poruszył uszami.

— Cemu ją straszysz ? — spytał inżynier, kiedy suczka w mgnieniu oka przepadła w ciemnościach zalegających dalszą część bulwaru.

Molnar odpowiedział, że trzeba psa przyzwyczaić do tego, co budzi w nim przerażenie, tak samo jak ludzie — między innymi i Ancza — muszą się oswoić z wieloma niemiłymi rzeczami. Mówiąc to Molnar groźnie zjeżył gęste

jasne brwi, a przy końcu zdania potężnie wałnął przyjaciela w plecy i tubalnym basem głośno się roześmiał. Bił od niego taki wewnętrzny spokój, że samo ukazanie się jego olbrzymiej postaci byłoby w stanie uśmierzyć zapędy rozjuszonych nożowników w podmiejskiej karczmie.

Niki w istocie musiała być lepszym znawcą ludzi niż Ancza, gdyż po jakimś czasie przywykła do ruchliwych uszu Molnara i nawet całkiem wyraźnie go polubiła. Kiedy olbrzym po raz pierwszy ją pogłaskał trochę drżała, ale nie uciekła.

W tym czasie już się jakoś przyzwyczaiła do miejskiego życia, chociaż należy przypuszczać, że w głębi duszy nie wyzbyła się zupełnie wrogości wobec miasta. Do ruchliwych punktów komunikacyjnych, do których należał także narożnik placu Rudolfa — obecnego placu Marii Jasai — i bulwaru Świętego Stefana, odnosiła się z wyraźną antypatią ; kiedy jej panu lub pani wypadała tamtędy droga, przystawała i patrzyła na nich wzrokiem pełnym wyrzutu, odmawiając posłuszeństwa albo przynajmniej tak się zachowując, jakby dalej nie chciała iść. Trzeba było siłą ciągnąć smycz, żeby poruszyć z miejsca sztywne, opierające się łapy. Z wielkim trudem także przychodziło jej zrozumienie różnicy między chodnikiem a jezdnią ; dla psiej wyobraźni było to zadanie, które można porównać do rozwiązywania przez dziecko pierwszego oderwanego równania algebraicznego. Pewne zadośćuczynienie dawały jej tylko drzewa, gdyż u ich stóp znajdowała podniecające ślady bytności wielu przedstawicieli psiego rodu ; jeden taki pień, niby mała encyklopedia, zawierał większy i ciekawszy zapas wiedzy o prywatnym życiu psów tej dzielnicy, niż w Czobance cała główna ulica. Można zaryzykować twierdzenie, że drzewa ulicy Pożońskiej zastępowały cały rocznik codziennej psiej gazety.

Rzecz jasna, takie nagromadzenie silnych przeżyć nie zawsze jest zbawienne dla duszy ; można to porównać z wrażeniami, jakimi się zachłystuje mieszkanie prowincji, gdy zjeżdża na parę dni do stolicy. Kiedy zabierano Niki na ulicę — najczęściej wychodziła z nią Anczowa — suczka z początku tak się rwała do każdego drzewa, że niemal wyszarpywała smycz z ręki swej pani i z najwyższym podnieceniem obwąchiwała pnie, nie mogąc po pro-

stu z żadnym z nich rozstać ; po jakimś czasie jednak traciła widocznie z nadmiaru rozkoszy animusz, kurczyła się w sobie i zwiesiwszy uszy, bez humoru wlokła się za swoją panią. Wysokie ciśnienie miasta miewa nieraz taki wpływ na proste, zdrowe wiejskie dusze.



Z początkiem listopada Ancza znowu zaczął pracować, Niki zaś wróciła pod opiekę swej pani. Inżynier otrzymał podrzędne stanowisko w niedużej fabryce maszyn w Ujpeszcie, naturalnie z mniejszym uposażeniem. Ale i to stanowiło dla niego zbawienną kurację, bo przymusowa bezczynność w kipiącym pracą kraju doprowadzała go niemal do czarnej rozpacz; co prawda ten wielki zapał do pracy był nieco przyćmiony tym, że otrzymane stanowisko wymagało kwalifikacji inżyniera mechanika a nie górnika. Chcąc jednak sprostać zadaniu, codziennie do późnej nocy przesiadywał nad fachowymi książkami. Miał z pewnością wszelkie podstawy sądzić, że jako jeden z najlepszych w kraju inżynierów górników mógłby w swojej specjalności być bardziej pożyteczny.

Chcąc zdążyć na ósmą do pracy, musiał wstawać o piątej rano, gdyż przepełnione tramwaje jeździły rano znacznie wolniej ; piechotą dochodził do pętli przy ulicy Wyszogrodzkiej — ulicę tę ochrzczone później nazwiskiem Józefa Kisza, aby w jakiś czas potem znowu powrócić do Wyszogrodzkiej — tam bowiem nawracały tramwaje jadące do Ujpesztu. Mimo wczesnej rannej godziny, tłumy ludzi zdążyły bulwarem Świętego Stefana w kierunku różnych środków lokomocji. Cały ten gorączkowy ruch — dzwonienie tramwajów, klaksony ciężarówek, sapanie spieszących się przechodniów i zatłoczone tramwaje obwieszone kiściami klnących na czym świat stoi albo pokpiwających ze wszystkiego pasażerów — był dla inżyniera symbolem rozpoczynającej się wkrótce pracy, lub też, biorąc ogólniej, skoncentrowanym obrazem odbudowy kraju. Widok ten przepełniał go radosnym podnieceniem, a nawet — wyznajmy to bez cienia wstydu — wprowadzał go w jakiś uroczysty nastrój. Tramwaje pęłzały wolno jak ślimaki, ale posuwały się naprzód. Ludzie wsiadali i wysiadali,

deptali mu po nagniotkach, on zaś z głębokim wzruszeniem myślał, że każdy z nich pracuje przy tworzeniu nowego rozdziału historii Węgier.

Przez ten czas żona, która z powodu wątłego zdrowia nie miała odwagi wziąć stałej posady, wykonywała w dzielnicy różne polecenia organizacji partyjnej, albo też chodziła pomagać do biura Demokratycznego Związku Kobiet Węgierskich. Suczka często zostawała w domu sama. Zamartwiała się w zamkniętym mieszkaniu na swoim legowisku w kącie pokoju Anczowej, albo raczej — chociaż było jej to surowo zakazane — na jednym z foteli obitych brązowym rypsem. Ilekroć wracała pani, choćby jej nieobecność nie trwała dłużej niż pół godziny, Niki witała ją takimi radosnymi skokami, szaleńczym tańcem, machaniem ogonem i ujadaniem, jakby to był powrót z kilkumiesięcznego pobytu w więzieniu. Trwało co najmniej kilka minut, zanim się uspokajała. W takich razach Anczowa nie miała serca jej karać, to znaczy ostro na nią krzyknąć za przekroczenie zakazu wylegiwania się na fotelu. Skąd zresztą mogła o tym wiedzieć, skoro Niki na pierwszy dźwięk klucza zgrzytającego w zamku natychmiast zeskakiwała na równe nogi? Ledwie Anczowa wchodziła do przedpokoju, suczka już piszczała pod drzwiami, podniecona do ostatnich granic. Dowody nieposłuszeństwa były jednak niezbite: przede wszystkim siedzenie fotela było rozgrzane. Wystarczyło przyłożyć dłoń do brązowego rypsu, by namacalnie przekonać się o popełnionym przestępstwie. Z pewnością jednak Niki nie byłaby w stanie zrozumieć związku przyczynowego między ruchem ręki i ewentualną karą, i obdarzałaby swoją panią jakimiś nadprzyrodzonymi właściwościami, których ta łagodna, prosta i całkiem zwyczajna istota w żadnym wypadku nie chciała sobie przypisywać. Gdyby Anczowa nosem przeciągnęła po fotelu, może suczka zrozumiałaby za co jest karana. Ale żeby ktoś ręką obwąchiwał? Pani nie chciała jej wprowadzić w błąd. Wystarczyło zresztą, by stojąc obok fotela spojrziała z wyrzutem albo karcąco, a Niki od razu kornie spuszczała ogon i kryła się w kącie lub kładła się na grzbiecie i gestem proszącym o przebaczenie wyciągała w górę wszystkie cztery łapy, domagając się na znak odpuszczenia winy podrapania po delikatnym różowym brzuszku.

Moglibyśmy postawić pytanie — gdybyśmy znali na nie odpowiedź — czy pies ma sumienie. Nie potrafimy jednak tego rozstrzygnąć, toteż poprzestajemy tylko na samym pytaniu i mamy nadzieję, że może ktoś z czytelników zdoła tę kwestię wyjaśnić i doniesie nam do jakich doszedł wniosków. Czy zatem pies ma sumienie, a więc czyste i nieczyste sumienie? Co do nieczystego sumienia, to zaryzykowalibyśmy przypuszczenie, że w psie odzywa się tylko świadomość winy, to znaczy strach, jeśli przekroczył jakiś obowiązujący go zakaz. Objawia się to również u większości ludzi, kiedy mówią o tak zwanych wyrzutach sumienia. Jeśli zaś nie ma nieczystego sumienia, to nie może również być mowy o czystym, chyba że zupełnie brak sumienia, czyli absolutne zadowolenie z siebie samego, będziemy uważali za czyste sumienie. I to także można zaobserwować u wielu ludzi. Jeśli jednak uważamy sumienie za proces świadomy, który nieustannie bada otaczający świat z punktu widzenia własnej indywidualnej odpowiedzialności i stale dyktuje sposób postępowania, pozwalając i zabraniając, potępiając i usprawiedliwiając, od pierwszej do ostatniej chwili nadając kierunek naszemu życiu, wówczas na pytanie czy zwierzęta (a więc i Niki) mają poczucie czystego lub nieczystego sumienia, możemy — z pewnym wahaniem co prawda — dać przeczącą odpowiedź. Tym właśnie zwierzęta różnią się od ludzi, którzy ewentualnie mogą posiadać sumienie. Jeśli więc zechcemy krańcowo ująć sprawę, to możemy powiedzieć że właściwie Niki tylko pod tym jednym względem różniła się od swego pana, Janosza Anczy.



Przez całą zimę i jeszcze przez następną wiosnę opieka nad suczką spoczywała w kobiecych rękach, co zresztą było zupełnie właściwe, jako że już w marcu, to znaczy mniej więcej w rok od nawiązania znajomości, w życiu Niki nastąpił znowu ów specyficzny okres, który tylko dwa razy do roku nawiedza suczki. Po prostu pewnego dnia Anczowa spostrzegła, że zamiast jednego prowadzi na spacer trzy albo i cztery psy po pustym skądinąd bulwarze nadrzecznym. Już poprzednio dziwne jej się wydało, że po klatce schodowej kręci się stale wielki

brązowy wyżeł ; kiedy wracała po załatwieniu sprawunków albo ze Związku Kobiet, przyłączał się do niej już w bramie bojaźliwie ale zdecydowanie odprowadzał ją do samych drzwi mieszkania. Gdy zaś po jakimś czasie wyruszała z suczką na codzienny spacer, wyżeł towarzyszył im z wzruszającym wprost oddaniem. Anczowa sądziła, że jest to bezpański pies. Wkrótce jednak okazało się, że prawowitym właścicielem wyżła jest pewien złotnik i zegarmistrz nazwiskiem Klein, którego warsztat znajdował się na ulicy Karola Legradyego — przechrzczonej później na ulicę Balzaka.

Nie sposób ustalić, jakim telegrafem wszystkie psy ulicy a nawet całej dzielnicy dowiadują się o radosnym wydarzeniu, że w sąsiedztwie mieszka suka, która łaknie miłości. Faktem jest, że jeszcze zanim cokolwiek zdradziło stan Niki, dwóch lub trzech wielbicieli nie odstępowało jej na krok, a gdy później ów stan miłosnego pożądania stał się bardziej widoczny, całe stado psów różnego wzrostu, wieku i rasy włączyło się bez przerwy jej śladem. Choć ludzkie kryteria nie są w ocenie psiej urody miarodajne, wolno przypuszczać, że kobiecość Niki musiała być niezwykle pociągająca. Ledwie suczka ukazywała się w bramie, prowadzona naturalnie na smyczy, co najmniej dwóch oczekujących adoratorów rozpoczynało zaloty, trzymając się to w przyzwoitej, to w nieprzyzwoitej odległości. Reszta czekała na bulwarze. Na te wiosenne spacer-y Anczowa musiała w końcu zabierać stary parasol męży, aby studzić nim zapąły młodych i co gorętszych aktywistów, nie chciała bowiem, by Niki w rok po pierwszym porodzie znowu się oszczeniła. Po co obarczać społeczeństwo nową porcją bezużytecznych foksterierów ? Nie mówiąc już o tym, że Niki była za młoda, by bez szkody dla zdrowia co roku podejmować trudy macierzyństwa.

Anczowa z kobiecą solidarnością, ale i bystrym kobiecym wzrokiem, obserwowała w tym okresie suczkę i nieraz mimo woli uśmiechała się. U małego, pełnego wdzięku zwierzątka odkrywała — naturalnie w formie o wiele prostszej — takie same przebiegłe i kokieteryjne posunięcia, jakie cechują grę miłosną wśród ludzi. Kto wie — myślała sobie — gdyby tak parze zakochanych psów pozwolić na życie w małżeńskim stadle, może by się między nimi rozwinęło owo czułe przywiązanie dające poczucie

wzajemnego oparcia, które łatwo zaobserwować u wielu innych zwierząt, a które u ludzi nosi miano moralności. Gdybyśmy tak z nieco mniejszą pychą i zarozumiałością patrzyli na siebie...

Anczowa nie snuła dalej tych rozważań. Do miłości kobiety mają bardziej obiektywne a jednocześnie bardziej tajemnicze podejście niż mężczyźni, toteż musimy przyjąć, że Anczowa lepiej rozumiała stan suczki niż zbytnio skłaniający się do logiki nieszczęsny autor tego opowiadania. Możemy jednak zanotować, że w owym czasie spacer z suczką, choć nieraz denerwowały i męczyły Anczową z powodu ciągłego wymachiwania parasolem, to jednak sprawiały dużo radości jej kobiecemu sercu.

Na początku tego okresu Niki chodziła jeszcze bez smyczy i szczyrzyła zęby na zbyt natarczywych wielbicieli. W pierwszych dniach można było zauważyć u niej kokieterię a zarazem — jeśli wolno użyć tego słowa — istic dziewczęcą wstydlivość. Najpierw się wdzięczyła, a kiedy adorator brał to na serio, zmykała. Była wyzywająca, a w chwilę potem spłoszona i nieprzystępna. Pragnęła, a jednocześnie bała się spełnienia. Więcej było w niej przeczuwania niż pożądania, więcej marzenia niż rzeczywistości. Być może czytelnik uważa to subtelne cieniowanie za przesadę, szczególnie w odniesieniu do nierasowej suki, ale naszym obowiązkiem jest opisanie spostrzeżeń Anczowej, które są chyba najbardziej wiarygodne. Powtarzamy tu jeszcze raz, że naszym zdaniem kobiety, nawet najprymitywniejsze, więcej wiedzą o miłości od mężczyzn, obdarzonych mniej wrażliwym systemem nerwowym.

Najbardziej wzruszał Anczową pewien rys przywodzący na myśl ów niezdrowy element, którego obawiał się inżynier w początkach znajomości z psem. Otóż przy swoich kokieterijnych sztuczkach, kiedy jakiś energiczniejszy wielbiciel zanadto ją napastował, Niki w popłochu tuliła się do spódnicy swej pani, jak dziecko do matki. Każde zaloty kończyły się w ten sposób, że suczka przybiegała i kryła się to z prawej, to z lewej strony, to za plecami swej pani, ale zdarzało się także, kiedy nie było już innej rady, że stając na tylnych łapach wpraszała się na ręce, gdyż w nich widziała jedyną pewną ucieczkę.

Anczowa uczyniła jeszcze jedno pouczające spostrzeżenie, z którego jako kobieta wyciągnęła odpowiednie

wnioski i przy sposobności nawet przedstawiła je w męskim towarzystwie. Nieraz się zdarzało, że w samoobronie Niki ugryzła wielbiciela, ale choćby w grę wchodził największy wilczur, nie było wypadku by rycerski samiec szukał odwetu. Obserwacja dotyczyła nie tylko okresu zalotów — ostatecznie mężczyzna także nie odwzajemnia policzka, który za zbytnią natarczywość otrzymał od panny czy młodej mężatki. Ale przez tych kilka lat, które Niki przeżyła u Anczów, ani razu żaden pies nie skrzywdził suczki, nie ugryzł jej i nawet nie warknął, choćby przedmiot sporu stanowiło żarcie, czyli jakby nie było sprawa egzystencji. Wypada stwierdzić, że wnioski wyciągnięte przez Anczową z tych spostrzeżeń nie były pochlebne dla ludzkiego gatunku.

Zaobserwowała jeszcze jedną rzecz, ale z uśmiechem ukryła ją na dnie serca i za żadne skarby nie zdradziłaby jej we wspomnianym wyżej męskim gronie. Chodziło o to, że wszystkie psy — jakkolwiek Niki gniewnie odpychała ich zaloty — w żadnym wypadku nie wyrzekały się swych zdobywczych zamiarów i napastliwych manewrów. Gdyby parasol inżyniera w porę nie interweniował, Niki według wszelkiego prawdopodobieństwa nie raz musiałaby się poddać. Czy należy to tłumaczyć szczodroblivością natury, czy raczej szerokim gestem wielbicieli? A może kryje się w tym dalekowzroczna zapobiegliwość? Czy to jest moralność, czy jakieś szersze pojęcie moralności? Odłóżmy te pytania do późniejszych rozważań.

Dla uzupełnienia monografii bohaterki naszego opowiadania musimy jeszcze zauważyć — co w każdym razie świadczy o zdecydowanym braku gustu, a może nawet o jakimś zboczeniu — że Niki nie czuła pociągu do przedstawicieli własnej rasy, ostrowłosych czy zwykłych foksterierów lub innych psów małego wzrostu, lecz na wzór niektórych białych kobiet tracących głowy dla Murzynów upodobała sobie wielkie czarne psiska. Pośród adoratorów znajdował się właśnie jeden — już nie pierwszej młodości, nieco otyły, o kaprawych ślepiach, ociężały kundel — do którego zapalała miłością i kto wie, czy nie obdarzyłaby go swymi względami, gdyby groźny parasol nie odstraszył tchórzliwego Adonisa. Zresztą pozostali konkurenci prędko wygrzyźli go ze swego grona i po trzech dniach zalotów więcej się nie zjawił.

Wiosna była piękna. Ostry marzec stopniowo przerozdził się w kwiecień, nadszedł bujny wonny maj, wiatr od budajskich gór przynosił na bulwar i dalej niósł w kamienny maszy miasta zapachy kwitnących na stokach kwiatów. Ludzi też przenikała wiosna, zwiotczałe i poszarzałe po zimie twarze nabrały kolorów, humory się odświeżyły, w tramwajach mniej słyszało się przekleństw, w sklepach wszyscy cierpliwie stali w ogonkach, może nawet i praca lepiej szła. Wiosenne podniecenie dawało się odczuwać w życiu całego kraju. Z zainteresowaniem wyszukiwano w gazetach przepowiednie pogody i wiadomości o spodziewanych dobrych zbiorach. W tym okresie wszyscy, a szczególnie ludność miejska, kierowali wzrok na sytuację w rolnictwie, co było oczywistym dowodem na zwiększonego poczucia odpowiedzialności za losy kraju.

Pewnego wieczoru inżynier wrócił do domu ze zdumiewającą wieścią, że minister spraw zagranicznych został aresztowany. Nie ukazał się na ten temat żaden oficjalny komunikat, tak samo jak nie pisano w gazetach o dalszych aresztowaniach. Wiadomość robiła wrażenie zupełnie nieprawdopodobnej, tym bardziej że minister był starym komunistą, jeszcze z czasów nielegalnej działalności partii, i cieszył się wielką popularnością, ale źródło z którego Ancza otrzymał informację było zupełnie pewne. W ciągu następnych dni chodził ponury i przybity, tak że żona ledwie śmiała go czasem zagadnąć.



Latem Ancza został przeniesiony z fabryki w Ujpeszcie do wytwórni mydła, gdzie go niechętnie przyjęto, gdyż potrzebny tam był chemik. Inżynier objął to stanowisko, ale po dłuższym namyśle wysłał podanie do Węgierskiej Partii Robotniczej prosząc o przydział pracy odpowiadającej jego kwalifikacjom. Nie otrzymał żadnej odpowiedzi, lecz po miesiącu został przeniesiony do przedsiębiorstwa robót ziemnych, skąd skierowano go w teren jako referenta materiałowego przy budowie kanałów nawadniających za Cisą. Było jasne, że partia ostatecznie przestała się nim interesować.

Ogarnęło go przygnębienie i to nie tylko z powodów osobistych. We wrześniu odbył się pierwszy wielki proces

polityczny podczas którego wyszło na jaw, że aresztowany wiosną minister spraw zagranicznych był w młodości konfidentem policji i agentem obcych mocarstw, oraz że prócz niego trzeba skazać na śmierć i powiesić cały szereg wyższych oficerów i działaczy partyjnych za takie same zbrodnie. Inżyniera, który bez zastrzeżeń wierzył w wewnętrzną czystość partii, tak przygnębiła ta sprawa, że wpadł w ponure milczenie. Nie rozmawiał na ten temat nawet z żoną, ale jego wiara doznała gwałtownego wstrząsu. Teraz już nie wydawały mu się wyssane z palca plotki, jakie obily mu się o uszy w związku z jego zwolnieniem z fabryki maszyn kopalnianych. Jeden ze skazanych funkcjonariuszy partyjnych pracował właśnie w biurze kadr Komitetu Centralnego.

Od tego dnia Ancza stał się jeszcze bardziej milczący i zamknięty w sobie, jak zresztą wszyscy dokoła niego. Rozchodziły się wieści o coraz nowych aresztowaniach, szczególnie w stolicy. Wzajemne zaufanie między ludźmi zachwiało się, nikt nie wiedział co sądzić o drugim. Tylko w domu i we śnie mówiono szczerze. W ogarniającej cały kraj zмовie milczenia komuniści pracowali z zaciśniętymi zębami uważając wszystkich dokoła za wrogów, i sami także albo milczeli, albo powtarzali urzędowe slogany. Cały naród przechodził wyższą szkołę hipokryzji.

Podenerwowanie inżyniera wyczuwała naturalnie nie tylko żona, ale i wrażliwa suczka. Kiedy późnym wieczorem wracał do domu, z reguły już po zamknięciu bramy, Niki swym wyczulonym słuchem poznawała kroki pana na schodach i podniecona zeskakiwała ze szczekaniem z legowiska i biegła do drzwi. Latem przez otwarte okno słyszała zbliżanie się pana. Zrywała się, pędziła do drzwi cicho skomląc i drapiąc deskę, co było dla Anczowej sygnałem, żeby pójść do kuchni i nastawić kolację; kiedy rozlegał się zgrzyt klucza w zamku, mogła już podawać do stołu. Suczka przez ten czas z niesłabnącym entuzjazmem święciła szczęśliwy powrót pana, głośno ujadła z radości, tańczyła wokół niego, jak opętana, raz po raz wyskakiwała w górę, chwytając go zębami za rękaw, ocierała się o nogi, tak że kiedy wreszcie zasiadał do odgrzanego posiłku, jedzenie było na powrót zimne.

Od czasu jednak kiedy Ancza był w ponurym nastroju suczka nie śmiała być tak wylewna i gadatliwa jak dawniej, w piękne letnie wieczory. Z jednakowo radosnym skowytym pędziła do drzwi gdy tylko odzywał się dzwonek w bramie, podniecona odbijała się parę razy do góry, ale jakby zły humor wydawał niemiłą dla niej woń, wkrótce jak zwarzona wlokła się z podwiniętym ogonem na legowisko. Nieraz nawet nie asystowała przy kolacji, tylko leżąc w kącie z łbem na wyciągniętych przednich łapach, nieruchomym wzrokiem wpatrywała się w inżyniera, który w milczeniu jadł co mu żona podała. Ostatnimi czasy zdarzało się, że Ancza przez sen mówił i pojękiwał, a wtedy suczka w sąsiednim pokoju podnosiła się i żałośnie wyła. Był to dla Anczowej znak, że męża znowu męczą niepokojne sny.

Suczka miała już trzeci rok, co przeliczone na życie ludzkie stawiało ją w wieku mniej więcej dwudziestodwudziestopięcioletniej kobiety. Przepelniona była radością życia, ale wyzbyła się już niezdarnych i nieobliczalnych ruchów okresu szczenięcego. W jej chodzie, biegu i każdym poruszeniu widoczne było zrównoważone umiarkowanie, jakby radośnie zdrowe ciało dokładnie zdawało sobie sprawę, jaki zapas energii ma do wydania. Czy to jesienią czy zimą sierść jej lśniła zawsze nieskazitelną bielą, ślepia błyszcząły, czarny nos był chłodny w dotyku. Rozwijała się zgodnie z planem, jaki nakreśliła dla niej natura.

Mimo wszystko pobyt w mieście nie służył jej. Była jeszcze zbyt młoda i zdrowa by cierpieć z tego powodu, ale stawało się widoczne, że jej organizm walczy o swoje potrzeby. W mieście było jej za ciasno, na każdym kroku jakby się o coś obijała. Czuła się jak człowiek, którego zaopatrują we wszystko co niezbędne do życia, skąpiąc mu tylko powietrza.

Zima z czterdziestego dziewiątego na pięćdziesiąty rok, druga zima jaką spędzała w mieście, odbiła się szczególnie na jej samopoczuciu. Już latem nie zdołała nadrobić tego, czego pozbawiła ją poprzednia zima, a więc swobodnego ruchu, koniecznej zmiany wrażeń i bezpośredniego obcowania z naturą. Przywykła do tego w pierwszym okresie życia w Czobance i chociaż stale ją wyprowadzano na spacerzy żeby się wybiegała na bulwarze, nie

zaspokajało to jej instynktownych potrzeb. Nie tylko uczono ją obowiązków — co prawda łagodnie i z wielkim taktem — ale wydzielano jej także radość ; na swobodę miała planowo wyznaczone godziny. Była jeszcze młoda, niechętnie naginała się do dyscypliny, którą i człowiek dopiero wtedy jako tako znosi, kiedy mu się wyjaśni jej ukryte przyczyny i kiedy je zrozumie. Ale co się dzieje, jeśli czegoś nie rozumie ? Niechętnie robimy porównania między człowiekiem i psem, uważamy niemal za profanację stawianie obok siebie bezdusznego zwierzęcia i człowieka o wzniosłych uczuciach i wysokiej inteligencji. Cóż jednak spowodowało załamanie się inżyniera jak nie fakt, że niczego mu nie wytłumaczono ? Ani na temat swego własnego losu, ani na inne pytania nie otrzymał wyjaśnień, chociaż — żeby się trochę górnołotnie wyrazić — wieloma sprawami przejmował się za swoich współziomków. Tak samo jak pies, głupie stworzenie niższego rzędu, nie był w stanie zrozumieć konieczności, która dyktowała pewne czyny, ponieważ nie dano mu możliwości zrozumienia jej.

Jak zaznaczyliśmy poprzednio, już pierwsze lato w stolicy nie zdołało wyrównać u Niki wielkich zaległości spowodowanych miejską zimą, a następna zima z dnia na dzień powiększała ten niedobór. Tej zimy Anczowa często niedomagała, a więc o wiele rzadziej wychodziła z suczką na spacer, inżynier zaś najwyższej dwa lub trzy dni w tygodniu spędzał w Peszcie, gdyż musiał dojeżdżać nad Cisę, gdzie przejmował, kontrolował i spisywał żelazo zbrojeniowe, części samochodowe, tarcicę i różne inne materiały. Można powiedzieć, że psem w ogóle się nie zajmował. Niki całe dnie i noce spędzała na swym legowisku. Czasem wstawiała, ospale włożyła się po mieszkaniu, potem znów się wylegiwała. Jeśli wypatrzyła muchę, urządzała na nią polowanie. Nieraz wskakiwała na krzesło i z łapami na parapecie wyglądała przez okno na ulicę. Anczowie mieszkali na pierwszym piętrze, z okna rozpościerał się widok na most Małgorzaty, Dunaj i Górę Zamkową, ale krótkowzroczna suka nie widziała na taką odległość, tylko gapiła się w zalegające przestrzeń powietrze. Po jakimś czasie znudzona i zniechęcona zeskaakiwała z krzesła, ziewała i wracała na legowisko. W głowie miała pustkę podobną do przestrzeni przed oknem, bo

dzień nie dostarczał jej żadnych wrażeń, które mogłyby później zająć jej wyobraźnię.

Inżynier kupił jej piłkę i któregoś wieczoru przyniósł ją do domu. Po kolacji, trzymając piłkę w ręku, zawołał suczkę. Niki rzuciła obojętne spojrzenie na nieznany jej kulisty przedmiot, powoli wstała z legowiska i dokładnie się przeciągnęła. Najpierw wyprostowała przednie łapy, wysunęła je jak najdalej przed siebie, oparła na nich pyszczek, a zad zostawiła w górze aż kości jej zatrzęszczały ; potem tylne łapy poziomo ułożyła na podłodze i starannie, powolutku, z wkleśniętym grzbietem, prostowała do tyłu wszystkie mięśnie i ścięgna. Trzecia faza gimnastyki trwała nieco krócej. Siadła na zadzie, łeb odchyliła do tyłu unosząc go jak mogła najwyżej, wyprężyła mięśnie szyi, na wpół przymknęła oczy i przybrała głupi wyraz pyska, który Anczowa w myśli porównywała do miny ciotki przychodzącej nieraz na obiad w czasie gdy mieszkali w Szopronie.

Inżynier czekał cierpliwie. Wreszcie suczka podeszła bliżej, i wówczas rzucił piłkę, która tuż przed nosem Niki wysoko odskoczyła od podłogi. Niki na ułamek sekundy jakby skamieniała. W następnej chwili mieszkanie zamieniło się w dom wariatów.

Krzesło stojące obok pieca z hukiem się wywróciło. Zanim Ancza dostrzegł jego sterczące nogi, Niki zdążyła już zrzucić wazon ze stolika pod przeciwległą ścianą. Wazon jeszcze nie stuknął o podłogę, kiedy w drugim pokoju stojąca przy oknie duża lampa runęła na kredens. Niki nie mogła uchwycić zębami piłki, która stale wyslizgiwała jej się z pyska i jak zaczarowana hasała szaleńczo po podłodze, śliska i rozbrykana, coraz bardziej nieosiągalna. Przez cały czas gonitwie towarzyszyło podniecone ujadanie polującego psa.

Dochodziła już północ, z uwagi na spokój innych lokatorów trzeba było zakończyć te dzikie harce. Anczowie oboje rzucili się w pogoń za piłką, to znaczy za psem, usiłując z dwóch stron osaczyć Niki. Suczka przewróciła jeszcze jedno krzesło, na którym stał koszyk z przyborami do szycia, tak że naparstki, szpulki, i kłębki bawełny radośnie rozbiegły się po całej podłodze ; potem nastał wreszcie spokój.

Już nazajutrz suczka przegryzła piłkę, ale zabawa polegająca na gonieniu piłki, lub ewentualnie w jej zastępstwie kamienia, nigdy nie straciła dla niej uroku. Przez pierwsze dni od rana do wieczora skomlała przed zamkniętą szafą, nawet wtedy kiedy nikogo nie było w domu : błagała piłkę, żeby wyszła z ukrycia. Ledwie któreś z Anczów ukazywało się na progu, podbiegała do szafy przypominając o obowiązku wyjęcia zabawki. Tak przymilnie i czule, wprost do serca, umiała przemawiać — jak dziecko proszące o cukierek, jak zakochana kobieta o pocałunek męża, jak umierający z głodu o kęs chleba ! Nie można się było temu błaganiu oprzeć. Kiedy dostawała wreszcie piłkę, rzucała się na nią jednym susem, chwytając ją w zęby, mruczała i potrząsała nią bez przerwy, skacząc to w lewo, to w prawo, warcząc coraz głośniejsze, dopóki ze schwytej zwierzyny nie wytrzęsła duszy. Z piłki dusza już dawno uleciała, sflaczała guma tylko pykała i mlaskała, ale Niki za każdym razem mordowała na nowo swoją ofiarę. Czasem nużyła ją ta zabawa — chociaż tak wspaniałą zabawą nie sposób się zmęczyć ! — i żałośnie pogniecioną piłkę rzucała w jakiś kąt, ale kiedy po chwili przypadkiem ją spostrzegła, jednym skokiem dopadała ofiary i od nowa się nad nią znęcała. Jak gdyby chciała się zemścić za straconą swobodę, z gniewną zaciekłością niszczyła właśnie to, co jej na chwilę przywracało poczucie wolności.

Po kilku dniach z piłki zostały same strzępy i każdy z nich po kolei zapodziewał się pod jakimś meblem. Uchował się tylko jeden, nie większy nad cal, ale tym ostatnim kawałkiem gumy Niki zabawiała się z równą zapamiętałością, jak przedtem nieuszkodzoną, elastyczną piłką ; darła go, szarpała, gryzła, setki razy mordowała. Mamy nadzieję, że teraz czytelnik jasno zdaje sobie sprawę, w jaki sposób rodzą się symbole w życiu religijnym i w poezji ludu. Obserwując wyobraźnię dziecka możemy również śledzić ów proces, kiedy mała dziewczynka bezkształtny zwitek gałganów nazywa lalką, lalka staje się dla niej dzieckiem, i w końcu dziewczynka uważa siebie za prawdziwą matkę tak samo, jak Niki poszarpany strzęp gumy brała za umykającego zajaca.

Tego rodzaju zaspokojenie instynktu nie było zdrowe. Jak skoncentrowany alkohol odurzało, ale nie gasiło

pragnienia. Wolności nie można niczym zastąpić, ani nic na jej miejsce podstawić. Taką naukę wyciągnęła Anczowa z zachowania suczki, która po zabawie piłką lub strzępkami piłki zdradzała głębokie przygnębienie, przeważnie kładła się na legowisku i nie chciała nawet jeść. Kiedy znowu dawano jej zabawkę, zrywała się drżąc na całym ciele i robiła wrażenie nałogowego alkoholika, który nieustannie się odurza, żeby nie widzieć własnego stanu.



Do matki wtedy się uciekamy, kiedy nas w życiu spotyka jakieś nieszczęście. Wówczas jednak błagamy nie tylko o pomoc. Drogą niewielkiego samooszustwa — chyba potrzebne to jest każdemu, z wyjątkiem może mężów stanu o prostolinijnym zawsze charakterze, dyplomatów i innych reprezentantów ludu — otóż drogą niewielkiego samooszustwa wyobrażamy sobie, że wyłącznie miłość wiedzie nas do matki, którą dotychczas nie wiadomo dlaczego zaniedbywaliśmy. Gdy spotka nas rozczarowanie w stosunku do własnej osoby czy innych ludzi, to znaczy gdy rozczaruje nas życie, nagle budzi się uczucie, że poza matką nikogo naprawdę nie kochamy i wybieramy się natychmiast z pielgrzymką do niej, by naprawić zaniedbanie i zapewnić ją o naszej miłości, a przy okazji zaczerpnąć trochę jej uczucia. Na szczęście matka zawsze gotowa jest na nasze przyjęcie.

Trudno ustalić, czy zwierzę postępuje w podobny sposób. Dopóki trwa stosunek matki i dziecka, młode zwierzątko także szuka u niej obrony, ale czy odczuwa przy tym potrzebę oszukiwania samego siebie? Czy zwierzę okłamuje samo siebie, albo kogokolwiek innego? Pytanie jest zawile, toteż pozostawmy je do rozwiązania bardziej przenikliwym, subtelniejszym umysłom, na przykład mężom stanu, którzy — jak wiemy — od chwili urodzenia, wszyscy razem i każdy z osobna, znają się na wszystkim, a więc są nieomylni także w kwestiach psychologii.

Psu przez całe życie dobry pan zastępuje ojca i matkę. Istnieją naturalnie ludzie, którzy zaadoptowane dziecko traktują jak wyrobnika i na podobieństwo złej macochy wyciskają zeń olbrzymią nadwartość, każąc mu na przy-

kład stróżować za miskę pomyj bez żadnej innej zapłaty, żałując mu nawet skórki od chleba, jako że wolą ją dać tuczonoj właśnie świni. Naszym zdaniem, choć nie jest ono stuprocentowo miarodajne, należałoby wydać zarządzenie, które by takim ludziom pod karą więzienia zabraniało trzymania jakichkolwiek zwierząt włącznie ze świniami ; to wyrzutki społeczeństwa wstyd przynoszące ludzkości, to urąganie rozumowi, to wrzód na ciele zbiorowości ; gdyby państwo miało więcej środków finansowych, powinno ich poddawać leczeniu w zakładach psychiatrycznych.

Niki miała widocznie dobrych państwa, gdyż do nich zwracała się o pomoc. O pomoc ? A może tylko o miłość ? Czy z dnia na dzień mnożące się objawy czułości wypływały z wewnętrznej potrzeby i nie domagały się odwzajemnienia ? A może cielesne niedomagania i ubytek sił spowodowany długą zimą chciała wyrównać większą dawką uczucia, jak więzień skazany na długie lata odsiadki kary ? Znamy przecież owe dziko wybujałe uczucia, jakie wywołuje w duszy siła vitalna nie mogąca się wyładować w postaci energii fizycznej. W każdym razie faktem jest, że tej zimy i następnej wiosny Niki okazywała swym państwu coraz większe przywiązanie. Z dnia na dzień można było śledzić pogłębianie się łączącej ich zażyłości, wzmacnianie owych więzów uczuciowych, których tak bardzo obawiał się przed dwoma laty inżynier jako zagrażających jego niezależności.

W przedziwny sposób przywiązanie Niki było jednakowo podzielone między pana i panią, chociaż od Anczowej dostawała jedzenie i to ona przecież dziesięć razy więcej czasu poświęcała suczce. Niki jednak nie robiła między nimi żadnej różnicy i odnosiło się nawet wrażenie, że bardziej ich kochała gdy byli razem, niż każde z osobna. Nie mogła się nimi nacieszyć, rozkoszowała się ich obecnością jak powietrzem ; niestety, niewiele miała tej radości. Nieczęsto się zdarzało, by w niedzielę Anczowie wybrali się na spacer lub na dalszą wycieczkę — czy to na umajoną wiosennym czarem wyspę Małgorzaty, czy też nad brzeg Dunaju po stronie budajskich gór. Kiedyś tramwajem pojechali z psem aż do Chłodnej Doliny, przy czym suczce trzeba było nałożyć kaganiec. Niki ze szczęścia wprost wyskakiwała ze skóry. W takich razach

inżynier zazwyczaj był szybciej gotów i pierwszy schodził ze schodów ; suczka zbiegała za nim, ale z zakrętu schodów zawracała nawołując panią, a potem na dole wstrzymywała pana tańcząc mu pod nogami, dopóki się oboje nie zesзли. Także w czasie spaceru, jeśli jedno z małżonków pozostawało w tyle — przeważnie Anczowa, która co chwila się zatrzymywała, żeby popatrzeć na kwiatuszek w trawie, albo przyjrzeć się jakiemuś staruszkowi coś tam mamroczącemu na ławce — suczka natychmiast po nią zawracała i tak długo biegała tam i z powrotem, aż oboje nie zrównali kroku. Rzucało się wprost w oczy, jak usiłuje wciąż połączyć to, co do siebie należy, jak chce z dwóch niedoskonałych części uczynić całość ; Ancza nazwał ją kiedyś przy takiej okazji rajfurką i sam długo się śmiał z tego epitetu, czule obejmując kibić starzejącej się żony.

Jakoś niedługo po wycieczce do Chłodnej Doliny, w sierpniu 1950 roku, Ancza został aresztowany. Rano wyszedł do biura, ale w południe, wbrew zwyczajowi, nie zadzwonił do żony, a wieczorem nie wrócił do domu. Ani w biurze, ani na budowie nie wiadano co się z nim stało. Wszelki ślad po nim zaginął i przez okrągły rok nie było o nim wiadomości.

Dla Anczowej nastały ciężkie czasy. Wypłacono jej pensję męża tylko za jeden miesiąc, potem musiała sobie jakoś sama dawać radę. W departamencie bezpieczeństwa publicznego ministerstwa spraw wewnętrznych, gdzie zwróciła się po informacje, nie otrzymała żadnych wyjaśnień co do miejsca pobytu męża, ale za to dano jej radę by się więcej o niego nie dopytywała. Teraz było już oczywiste, że Ancza jest w rękach „awoszków”, to znaczy że sprawa z powodu której go zamknięto ma charakter polityczny ; żona więc na próżno starała się o pracę, nigdzie nie chciano jej przyjąć. Zaczęła chodzić na posługi, potem robiła swetry dla prywatnej inicjatywy, ale z trudem udawało jej się zarobić na chleb.

Mniej więcej w dwa miesiące po aresztowaniu inżyniera, do Pesztu, na zjazd przodowników pracy, przyjechał stary Ancza i tu dowiedział się o zniknięciu syna. Stary górnik, choć sam od roku przeszedł na emeryturę i ledwie wiązał koniec z końcem, z miejsca chciał synową zabrać do Szalgotarianu. Anczowa jednak wolała zostać w stolicy i czekać na powrót męża — o ile w ogóle miała się go

doczekać. Począwszy od następnego miesiąca, rodzina męża regularnie każdego pierwszego przysyłała jej pięćdziesiąt pięć forintów.

Obawiała się że odbiorą jej całe mieszkanie, albo każą oddać jeden pokój — co się zresztą później stało — toteż powstało dla niej zagadnienie, czy nie powinna rozstać się z suczką. Trzeba było za nią płacić pięć forintów miesięcznie podatku, wyżywienie psa też kosztowało ze dwadzieścia lub dwadzieścia pięć forintów. Czyż miała zatem prawo wydawać na psa większą część sumy otrzymywanej od krewnych? Można było co prawda to i owo sprzedać z mieszkania, co na pewno dopomogłoby jej do przetrwania, ale broniła się przed tym krokiem. Nie traciła nadziei, że mąż wróci jednak do domu.

Ostatecznie jedno wspomnienie zadecydowało o losie psa i tu musimy podkreślić, że przyniosło ono pociechę samej Anczowej. Przypomniało jej się, co kiedyś powiedziała świekra: „Wiesz, ja tak kocham zwierzęta, że nigdy jeszcze nawet kury nie zarżnęłam. Wolałabym umrzeć, niż zatłuc choćby myszkę”. To wspomnienie, niby jasny moralny drogowskaz, rozświetliło pełne wahań serce kobiety. Niki uniknęła więc — możemy powiedzieć: dzięki Bogu — najgorszego losu, jaki może spotkać psa: utraty swego pana.

Gdy minęło kilka najgorszych tygodni i Anczowa powzięła decyzję że nie rozstanie się z psem, dała Niki na legowisko noszoną ostatnio przez męża nocną koszulę. Suczka chciwie ją obwąchała, potem rozłożyła się na niej i dalej wąchała. Było widoczne, że to ją nieco uspokaja. Wieczorami jednak wciąż oczekiwała powrotu pana. Gdy na dole po zamknięciu bramy zadźwięczał dzwonek u dozorczy, siadała, przekrzywiała łeb to na jedną to na drugą stronę, i uważnie nasłuchiwała; nieraz nawet podbiegała do drzwi i z nosem przy podłodze głęboko wciągała powietrze. Po jakimś czasie wolno wracała na legowisko i wzdychając kładła się z powrotem. Zdarzyło się raz, że zwiedziony nadzieją słuch uległ halucynacji: suczce wydało się, że poznaje kroki inżyniera; jak oszalała, charcząc i piszcząc, rzuciła się do drzwi drapiąc je pazurami, aż w Anczowej zamarło serce; wybiegła do przedpokoju, jednym szarpnięciem otworzyła drzwi, a Niki skowycząc pędziła za nią. Jakiś obcy mężczyzna minął

pierwsze piętro i poszedł dalej, one zaś wróciły do mieszkania. Często nocą budziło Anczową skrzypienie podłogi pod lekkim stąpaniem suczki. Gdy zapalała lampkę na nocnym stoliku, dostrzegała Niki stojącą przy łóżku z opuszczonym łbem i zwisającymi uszami, wpatrzoną bez ruchu w podłogę.

Pewnej nocy Niki głośno przez sen jęknęła, potem siadła i z łbem zadartym do góry zaczęła przeciągle wyć. Nie można jej było uspokoić. Anczowa wstała z łóżka, przykucnęła koło suczki i głaskała ją po łebku. W końcu obawiając się że wycie obudzi sąsiadów, wzięła ją na ręce i zaniósła do swego łóżka. Pierwszy raz zdarzyło się, by Niki spała w łóżku. Anczowa jednak starała się teraz bardziej niż kiedykolwiek nikomu nie zawadzać. Od czasu aresztowania inżyniera wielu lokatorów ostentacyjnie jej unikało, nawet ci z którymi dawniej zamieniała po kilka słów zapominali jej się uklonić; bywało że biedna kobieta czuła na sobie nienawistne spojrzenia, od których dreszcz ją przenikał. Robiła co mogła by nie zwracać na siebie uwagi, jak cień przemykała się po schodach, omijała ludzi, z jej mieszkania nie dochodził żaden dźwięk poza skomleniem podnieconego psa.

Pewnego rana wyszła z suczką na bulwar. Właśnie mijały pracującą na rzece pogłębiarkę, kiedy tuż obok przejechała olbrzymia ciężarówka naładowana piaskiem. Niki przestraszyła się i zaczęła czekać. Z szoferki wychyliła się kobieta w niebieskim kombinezonie i z pogardą spojrzała na „panią” spacerującą z psem. Coś tam krzyknęła, że lepiej by zrobiła gdyby wnuczęta prowadziła na spacer, a nie psa. Anczowej łzy stanęły w oczach i w milczeniu poszła dalej. W pewnej chwili rozejrzała się i zauważyła, że jakiś mężczyzna bez marynarki, z długim kijem w ręku, ugania się za suczką. Z wąskiego wylotu któreś przecznicy wyskoczyło jeszcze dwóch takich ludzi i rzuciło się w pogoń za psem. Niki dostała się w obławę hyclów.

Trwało kilka sekund, zanim Anczowa zorientowała się w sytuacji. Kiedy oprzytomniała, łagodną skądinąd kobietę ogarnął wściekły gniew i nienawiść. Hycle czyhali na ostatnią pociechę, jaka jej pozostała! Zaczęła biec i potrafiła jednego z prześladowców tak gwałtownie, że zachwiał się i niemal przewrócił na ziemię.

Suczka pędziła właśnie wprost na niego, a w ślad za nią gnał pierwszy hycel, usiłując chwycić psa na drucianą pętlę przymocowaną do długiego kija. Niki biegła zygzakiem z podwiniętym ogonem i rozwianymi uszami. Kiedy usłyszała głos pani, która rozpaczliwie ją nawoływała, nagle skręciła i skierowała się wprost na nią. Na szczęście w ostatniej chwili dostrzegła, że drogę zagraджа jej trzeci hycel, którego długi kij dosięgnie jej zanim zdołałaby dobiec do swej opiekunki. Zdażyła jeszcze uskoczyć w bok i puścić się w boczną uliczkę, łączącą bulwar z ulicą Pożońską.

Zamieszanie i krzyki Anczowej ściągnęły tymczasem sporą gromadkę ludzi, którzy zaczęli głośno dawać wyraz swemu oburzeniu na widok nagonki urządzonej przez hyclów. Rozstąpili się przed uciekającym psem, ale zagrodzili drogę goniącemu go w milczeniu prześladowcom. Hycle nigdy nie cieszyli się sympatią mieszkańców stolicy, a ogólnie teraz panujący nastrój dopomógł do stworzenia w jednej chwili zwartego przeciwko nim frontu. W stosunku do hyclów ludzie mieli odwagę na głos mówić to, co o nich myślą. Przypadkowo wszyscy trzej byli rośliymi, młodymi chłopakami, toteż sypały się rady, żeby poszukali sobie innej pracy, na przykład w kopalni lub na wsi przy kopaniu kartofli. Urągano im od katów.

Niki zdawała się tracić siły, nie tyle może ze zmęczenia, ile z nerwowego podniecenia. Spoceni hycle, rozłoszczeni wrogą postawą ulicy, uparcie gonili psa, a jeden znalazł się tak blisko, że kilka razy zamachnął się już kijem, chwytając go prawie na pętlę. Niki w ostatecznej rozpaczyc rzuciła się do otwartej bramy, a jakiś przechodzień zatrzasnął ją od zewnątrz. Po chwili dobiegła tam Anczowa, a ludzie na widok zdyszanej i zapłakanej kobiety ostro wystąpili przeciwko hyclom żądając, by zaprzestali tego niehumanitarnego dręczenia zwierzęcia i człowieka.

Nie jest wykluczone, że od dawna dławiony w ludziach gniew mógłby teraz znaleźć ujście i wyładować się na hyclach — co byłoby może jednoznaczne z oporem stawianym władzy, — gdyby trzej prześladowcy sami już nie mieli dosyć tej gonitwy. Jeden z nich, widocznie brygadzysta, podszedł i zawołał Anczową do bramy, w której schroniła się suczka. Niki siedziała naprzeciwko wejścia na pierwszym zakręcie schodów, ale na widok wcho-

dzącego mężczyzny zawróciła i w mgnieniu oka zniknęła na wyższym piętrze. Anczowa spytała hycła, czego od niej chce. Ten przymrużył oko i wyciągnął rękę dłonią do góry. Biedaczka miała przy sobie dwadzieścia forintów, ostatnie pieniądze do końca miesiąca, i oddała je przedstawicielowi organu urzędowego.

Mniej więcej w tym czasie Anczowej kazano stawieć się w sekretariacie terenowej organizacji partyjnej. Spytano ją czy nie uważa, że uczyniłaby rozsądnie rozwodząc się z mężem. Nie namawiano jej, zaledwie potrącono w rozmowie tę kwestię, ale dano jej wyraźnie do zrozumienia, że dopóki nosi nazwisko zdrajcy ojczyzny, nie może liczyć na otrzymanie jakiegokolwiek pracy przy pomocy partii; poruszono jeszcze jedną sprawę: czy sumienie komunistki pozwala jej żyć bez pracy i tylko całymi dniami chodzić na spacerzy z psem. Anczowa spuściła oczy i bez słowa wyszła z pokoju. Później, kiedy skarżyła się na to postępowanie w organizacji partyjnej trzynastej dzielnicy, zbyto ją krótkim stwierdzeniem, że to była nadgorliwość. Ale w kilka tygodni później urząd kwaterekowy przysłał jej czteroosobową rodzinę z przydziałem na jeden pokój.

Zima nastała ostra, Anczowa nie miała pieniędzy na opał. Bezustannie marzła, a praca fizyczna, do której nie była przyzwyczajona, nadwładziła jej siły i nieszczęsna kobieta wciąż zapadała na zdrowiu. Przez dwa tygodnie leżała i tylko dozorczyńni dwa razy dziennie wyprowadzała Niki na krótkie spacerzy. Anczowa nie miała w Peszcie żadnej przyjaciółki, gdyż od chwili przeniesienia się do stolicy mąż nie miał czasu na utrzymywanie z kimkolwiek stosunków towarzyskich. Jedyna nieco bliższa znajoma, żona inżyniera z fabryki maszyn kopalnianych, z którą przedtem dość często się widywały, po aresztowaniu Anczy nie pokazała się ani razu. Były więc zupełnie osamotnione — ona i suczka.

Gdybyśmy mieli zmysł satyryczny, moglibyśmy postawić pytanie, jak to się stało że Niki w dalszym ciągu utrzymywała stosunki ze swoją panią zamiast przenieść się od niej do kogo innego, i to jak najdalej, na drugi koniec miasta? Faktem jest, że chociaż los suczki był ciężki, nic nie wskazywało na to by nosiła się z takim zamiarem. Ale ta trzecia zima, najgorsza ze wszystkich

dotychczasowych, w widoczny sposób dawała jej się we znaki. Anczowa miała chwilami wrażenie, że Niki zapomniiała już inżyniera — minęło przecież niemal pół roku od jego zniknięcia bez wieści — ale coraz to jakieś błahe wydarzenia wskazywało, że wciąż go pamięta. Pewnego dnia na przykład Anczowa zabrała do prania nocną koszulę, na której sypiała Niki. Suczka drzemała właśnie na brązowym rypсовym fotelu pod oknem i nie zauważyła tego. Ale wieczorem, kiedy poszła na swoje legowisko, zaczęła gorączkowo szukać, drapać poduszkę, niespokojnie się wiercić i w żaden sposób nie chciała się ułożyć do snu. Stała w kącie ze zwieszonym łbem i podwiniętym ogonem, jakby ją kto zbił.

Innym razem Anczowa postanowiła wyjąć z szafy ubrania męża i sprawdzić, czy się gdzieś mole nie zagnieździły. Jeden wieszak, na którym wisiał garnitur, zaczęła o gwóźdź wbity w ścianę, sama zaś dalej szperała w szafie. Nagle uświadomiła sobie, że suka głośno skowyczy i wyprawie jakieś dzikie skoki. Odwróciła się zdziwiona: Niki skakała przed ubraniem tak wysoko jak dawniej, i skomląc z podniecenia usiłowała zębami chwycić zwisający rękaw. Chociaż niechętnie decydujemy się na podniecanie wyobraźni czytelnika niepewnymi przypuszczeniami, możemy zaryzykować twierdzenie, że suczka wyjęcie ubrania z szafy uważała za zapowiedź natychmiastowego nadejścia pana, gdyż dawniej Anczowa miała zwyczaj przygotowywać co rano ubranie mężowi, kiedy inżynier mył się w łazience. Zresztą możliwe, że tylko znajomy zapach tak podniecająco podziałał na psa, podobnie jak fotografia dawno zmarłej a bliskiej osoby budzi w nas głębokie wzruszenie, kiedy niespodziewanie się na nią natkniemy.

Tej zimy suczka bardzo podupadła fizycznie. Schudła, straciła siły, chodziła osowiała i nawet spacerzy mało ją cieszyły. Pozostały w niej zaledwie nikłe ślady dawnej gotowości do zabawy. Nieraz wspinała się na tylne łapy, skakała radośnie na panią, chcąc pochwycić jej rękę, ale po chwili wpadała w jakiś dziwny szal i Anczowa przestraszona wyrывała dłoń. Warczała, gryzła, sierść jej się jeżyła, uszy miała jakby przylepione do łba, zęby wpijała w rękę swej pani jakby chciała zniszczyć i to nawet, co jeszcze pozostało z dawnego życia.

Sierść wypadła jej całymi garściami i chociaż dostawała dwa razy tygodniowo trochę drożdży, niewiele to pomagało.

Pewnego popołudnia u drzwi wejściowych rozległ się dzwonek i psa ogarnął niezwykle niepokój. Współlokator poszedł otworzyć — do Anczowej nikt nigdy nie przychodził — ale teraz Niki nie zadowolili się zwykłym ostrzegawczym warczeniem, jakim broniła mieszkania przed obcymi. Podbiegła do drzwi, węszyła, kręciła ogonem, skowyczała wysokim dyszkantem oznaczającym najwyższe radosne podniecenie (jak podczas polowania na zając albo w pogoni za rzuconym kamieniem), wreszcie skowyt przeszedł w rozdzierające uszy ujadanie. W przedpokoju cicho rozmawiano, ale suczka nie wsłuchiwała się już w dochodzące głosy. Drapała drzwi, podskakiwała do kłamek, jakby ją chciała nacisnąć. Anczowa wstała i drżącą ręką sama otworzyła. Wiedziała co prawda że to nie mąż, bo suczka inaczej by zareagowała na powrót pana, ale gość widocznie przyszedł do niej i Niki go znała. Może jakaś wiadomość o mężu?

Był to Wincenty Molnar, ale nie przynosił żadnej wiadomości, gdyż sam dopiero tego dnia dowiedział się o aresztowaniu Anczy. Od pół roku pracował w zagłębiu węglowym Tatabanya, w nocy przyjechał do stolicy i gdzieś zasłyszał nowinę. Po biurze natychmiast wybrał się do żony przyjaciela.

Zasób słów jakim operował niewiele mógł przynieść pociechy, ale kojąco wpływała sama jego spokojna, masywna obecność. Było w nim jak gdyby coś z osoby inżyniera, podobnie jak sam widok lampy przywodzi na myśl zapowiedź światła. Anczowa niepostrzeżenie dla siebie ożywiła się, raz i drugi, a nawet się uśmiechnęła. Olbrzymia postać Molnara przytłaczała rypсовy fotel; siedział, czasem przenikał wzrokiem okno, wydobywał z siebie z trudem jakieś zdanie, pochrząkiwał, potakiwał, przyglądał się succe. Niki najpierw od tyłu obwąchała mu nogi — wiemy bowiem, że nie dowierzała własnym oczom — potem wspięła się na tylne łapy przed fotelem i wyczekująco zajrzała gościowi w twarz. Molnar nie odezwał się do niej. Pies stał cicho. Oboje milczeli. Po chwili mężczyzna dwa razy poruszył uszami, najpierw z góry na dół, potem z przodu do tyłu.

Tym razem efekt był nieoczekiwany. Niki szczerką krótko, wskoczyła gościowi na kolana i z oznakami najwyższej radości klapnęła pyskiem w kierunku jego uszu. Molnar coś mruknął i spędził suczkę z kolan; nie lubił psich karesów.

— Widzi pani, jak się przyzwyczaiła? Człowiek też musi do wielu rzeczy przywyknąć — powtórzył niemal słowo w słowo mądrą sentencję, którą kiedyś, przed dwu i pół laty, uraczył inżyniera podczas spaceru na bulwarze.

Począwszy od tego dnia Molnar dość często zaglądał do Anczowej — przynajmniej raz w tygodniu, przeważnie w niedzielę; w właściwy sobie niezdarny sposób, ale tak że trudno było się na niego obrazić lub powiedzieć nie, przynosił w prezencie kawałek wędzonej słoniny, trochę domowej wędliny albo butelkę dobrego wina, pochodzącego najczęściej z okolic Czopaku, gdzie jakiś jego znajomy miał winnicę. (W owym czasie tylko tą drogą można było zdobyć trochę dobrego wina, gdyż dzięki czyjemuś racjonalizatorskiemu pomysłowi wynaleziono właśnie na Węgrzech trzymaną w tajemnicy, ale niesłychanie wydajną metodę wyciskania z kukurydzy najlepszych win balatońskich i badaczońskich). Nieraz Molnar towarzyszył Anczowej w wieczornych spacerach z suczką, a kiedy do wyzębionego i źle opalanego miasta powolutku, nad pokrytym gęsią skórą Dunajem, zaczęła się zakradać wiosna, kilkakrotnie namówił Anczową na dłuższą wyprawę. Nie trzeba chyba dodawać, że wypowiedzi Molnara podczas tych spacerów nie mogłyby konkurować z najbardziej nawet zwięzłym sprawozdaniem z zebrania na zakładowej masówce i że zdążyłoby się je bez trudu zanotować kaligraficznym pismem. Anczowa nie miała więc sposobności dowiedzieć się, że Molnar wytrwale starał się dociec gdzie przebywa inżynier, nie zrażając się żadnymi trudnościami administracyjnymi ani biurokratycznymi. Wczoraj na przykład — to znaczy na dzień przed ostatnim spacerem z Anczową — poszedł do AWH czyli do Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, który przeniósł się właśnie z ulicy Andraszyego, przemianowanej na ulicę Stalina, do nowego olbrzymiego gmachu nad Dunajem, zbudowanego dla ministerstwa spraw wewnętrznych, a odstąpionego Bezpiece. Kiedy otrzymał życzliwą ale stanowczą radę, by we własnym interesie zaniechał dalszych dociekań, Molnar —

jak wiadomo mężczyzna ogromnego wzrostu, dwukrotnie przodownik pracy i laureat nagrody imienia Kossutha, człowiek którego pradziad już pracował w szalgotariańskich kopalniach, ojciec w dziewiętnastym roku służył w Czerwonej Armii, a on sam od dwudziestu pięciu lat był członkiem partii komunistycznej jeszcze w czasach, gdy jej działalność była nielegalna — potężną pięścią dwa razy grzmotnął z taką siłą w biurko, że deska pękła na całej długości. Podczas przesłuchania, które potem nastąpiło, z niezwykłym jak na niego krasomówstwem opowiedział swe życie i zreferował opinię górników o wielu rzeczach, a kiedy go późnym wieczorem zwolniono, otrzymał obietnicę że wkrótce dostanie wiadomość w interesującej go sprawie. Po upływie miesiąca wezwano go i oświadczone mu, że potrwa to jeszcze jakiś czas. Dopiero latem mógł wreszcie donieść Anczowej, że mąż żyje i wkrótce do niej napisze.

Tej wiadomości Anczowa niestety nie mogła zakomunikować psu. Chyba że pośrednio, to znaczy własną wzmożoną radością życia, odzyskaną nadzieją i ufnością, które nagle przeniknęły całe jej jestestwo. Promieniała tą wiadomością, która objawiała się w głosie, w blasku spojrzenia, w żywych ruchach, jakby dusza przekazywała cielesnej powłoce jakieś swoiste znaki alfabetu Morse'a. To radosne wydarzenie które miało się spełnić kiedyś w przyszłości, to znaczy ewentualny powrót męża, trzeba było w jakiś sposób przenieść do teraźniejszości, aby stało się zrozumiałe dla zwierzęcia. Czas przyszedł w ogóle stanowił wielką trudność we wzajemnym obcowaniu pani i suczki. Używanie czasu przeszłego nie było w ich stosunkach potrzebne, ale w jaki na przykład sposób mogła Anczowa dać psu do zrozumienia wychodząc z domu, że wróci za mały kwadransik, bo biegnie tylko do spółdzielni na rogu bulwaru Świętego Stefana, i że nie warto z tego powodu ponuro opuszczać białego łebka w czarne łaty, nie warto smętnie wpatrywać się załzawionymi ślepkami w wychodzącą, nie warto podwijać ogona, zwieszać uszu i stawać na drżących łapach w pozie pełnej rozpacz, jakby pani odchodziła na zawsze. W pierwszym okresie współżycia z Niki Anczowa próbowała perswazji „Zaraz wracam, piesczuku”. Mówiła to uspokajającym tonem, wesoło, i dłonią głaskała grzbiet drżącej suczki. Ale w zwojach mózgowych Niki te trzy słowa zamieniały się w trzytako-

wą melodię samotności. Ilekroć je usłyszała, choćby były wypowiedziane najradośniejszym tonem, natychmiast ogarniał ją nastrój wiecznej rozłąki. Było jej zupełnie obojętne na jak długo pani ją opuszcza : z chwilą przejścia przez próg mieszkania oddalała się w wieczność. Każdy powrót państwa — czy następował po dziesięciominutowej nieobecności, czy po wielodniowym rozstaniu — witała z jednakowo nieprzytomną wylewnością, ale każde rozstanie przygnębiało ją tak jakby się żegnała na zawsze. Kiedy Anczowa przygotowywała się do wyjścia, wkładała płaszcz lub brała do ręki siatkę na sprawunki, suczka, która jeszcze przed chwilą ziewała na legowisku, zrywała się jak sprężyna i wyczyniając przednimi łapami bezładne pływackie ruchy, zdawała się w szale nieopanowanej radości niemal wyfruwać przez okno. Wystarczało jednak by pani na nią spojrzała, a zastygała w locie. Dość było jednego słowa lub jednego spojrzenia, albo na odwrót — ominięcia jej wzrokiem, aby w łapach psa uwiązał następny skok. Kiedy zaś rozlegała się trzytaktowa melodia „zaraz wracam, pieseczku” — Niki odwracała się i przytłoczona ołowianym ciężarem, który uczuciem bezgranicznego znużenia prosto z duszy przenikał w jej łapy i ogon, wpędzała w najciemniejszy kąt pokoju za kosz do papieru. Zdarzało się naturalnie i tak, że nie dowierzała własnym uszom i oczom, i jakaś bezsensowna nadzieja skłaniała ją do dalszego wyczekiwania. Stawała wtedy na środku pokoju ze zwieszonymi uszami i podwiniętym ogonem, tępym spojrzeniem śledząc każdy ruch pani. Kiedy Anczowa podchodziła już do drzwi, nie ruszała się z miejsca i nawet drgnieniem łba nie zdradzała, że każdy miesiąc jak naciągnięta cięciwa gotów jest do natychmiastowego skoku i szaleńczego biegu ; stała bez ruchu i tylko spojrzeniem towarzyszyła wychodzącej. Nie było w jej wzroku — o ile w ogóle ludzki umysł jest w stanie zanalizować podobne spojrzenie — ani prośby, ani gniewu, ani nawet rozczarowania. Nie było w nim nic. Była w nim nicość, zrodzona z bezgranicznej rozpaczli obojętność, pogodzenie się ze śmiercią ; zupełny brak blasku i wyrazu psich oczu graniczył niemal z głupotą. Jeśli w chwili, gdy pani kładła już dłoń na kłame, suczka ostatkiem sił rozciągała się plackiem na podłodze i jeszcze raz spoglądała na wychodzącą, Anczowa najchętniej zmieniłaby zamiar i została

w domu. Serce jej, udręczone własnym wdowim losem, nie mogło znieść tego spojrzenia, którego bezdenna rozpacz zdawała się pochodzić z pustki zaświatów.

W takich wypadkach największą udręką Anczowej było milczenie suczki, nie tylko milczenie pochodzące z bezwładu języka i strun głosowych, ale niemota całej postaci. Niki nie płakała, nie przeklinała, nie oponowała, nie żądała wyjaśnień, nie można jej było przekonać: w milczeniu znosiła swój los. To milczenie, dające się porównać z milczeniem złamanego na duszy i ciele więźnia, działało na Anczową jak krzyczący protest. Nigdy tak boleśnie i żywo nie odczuwała tragicznej bezradności i bezbronności psa jak w chwilach, kiedy z torbą w ręku spoglądała od drzwi na leżącą pośrodku pokoju bez ruchu Niki, która niemo wpatrywała się w nią z łbem złożonym na przednich łapach. W jaki sposób pocieszyć ją, jak wytłumaczyć pograżonej w grobowym nastroju suczce, że przecież za godzinę pani wróci do domu, że biegnie tylko na targ po zakupy. Albo że spieszy do pracowni trykotarskiej na plac Ferdynanda — nazwany później placem Przdowników Pracy — lub do filii na ulicę Thurzo — przemianowaną potem na ulicę Szandora Muka — i że najpóźniej koło południa wróci do domu. Jak pocieszyć ją, że inżynier także kiedyś się zjawi, jeśli nie dzisiaj w południe, to może za dziesięć lat? Dla zwierzęcia zdawało się sprawą całkowicie obojętną, czy państwo zostawiają ją samą na godzinę czy na rok — każda ich nieobecność wprawiała ją w ponurą rozpacz. Stale i bez przerwy potrzebowała ich widoku, każdym porem wchłaniała w siebie ich obecność jak powietrze.

Byłoby dla Niki ogromną ulgą, gdyby można jej było jakoś uprzytomnić, że jej pan żyje i teoretycznie istnieje prawdopodobieństwo jego powrotu do domu. Anczowa nie była jednak w stanie jej tego powiedzieć, nie umiała też bliżej określić kiedy to nastąpi: nie odbyła się jeszcze rozprawa, a więc nie ogłoszono wyroku. Poza wiadomością uzyskaną od Molnara, przez dalszych osiemnaście miesięcy nie było od męża znaku życia. Nawet później, kiedy w odstępach trzy- lub czteromiesięcznych mogła go odwiedzać w więzieniu, nie miała sposobu przekazania tej wiadomości suczce.

Nie będziemy tu ryzykowali absurdałnego twierdzenia, że jakiegokolwiek zwierzę, a więc i pies, mogłoby rywalizować z człowiekiem gdy chodzi o wierność i inne ciężkie próby wynikające z uczucia miłości, dlatego też nie przypisujemy nieobecności pana fizycznego i duchowego upadku Niki oraz jej przedwczesnego starzenia się. Wolimy to raczej położyć na karb kiepskiego odżywiania i braku ruchu. Bo przecież zdrowa, silna suczka w pełnym rozkwicie swych pięciu lat, posiadająca niezmierny zapas sił, czemuż by miała chudnąć i tracić sierść tylko dlatego, że pewien człowiek o miłym zapachu, którego uznała za swego pana, usunął się na jakiś czas jej z oczu? Niki potrzebowała po prostu więcej ruchu, lepszego pożywienia, witamin i weselszego otoczenia; toteż Anczowa w poczuciu ciężącego na niej obowiązku starała się w miarę swych możliwości wszystkiemu temu jakoś zaradzić.

Od czasu gdy się dowiedziała że mąż żyje, częściej wychodziła z suczką na spacer, mówiła do niej i usiłowała w nią przelać tę odrobinę radości życia, która się w niej samej obudziła. Nie miała pieniędzy na kupienie nowej piłki, zabawa polegała więc na rzucaniu kamieni. Począwszy od połowy pięćdziesiątego drugiego roku, kiedy latem jako tako odzyskała zdrowie, w codziennym rozkładzie zajęć zawsze starała się wykroić godzinkę lub półtorej dla suczki; przeważnie po południu, w czasie siesty poobiedniej, szły na bulwar nadrzeczny. Niki, jakby miała w system nerwowy wmontowany mechanizm zegarowy, punktualnie o drugiej opuszczała legowisko i siadała przed panią. Jeśli z jakiegoś powodu Anczowa zwlekała z wyjściem — bo na przykład kończyła łatanie bielizny — suczka stawała po chwili na tylnych łapach i przednią ostrzegawczo dotykała ręki szyjącej, a potem znowu siadała na podłodze. Gdy robota przeciągała się i czas mijał, próbowała jeszcze raz zwrócić uwagę pani, a jeśli i to nie odnosiło skutku, głośno i z demonstracyjną ironią zaczynała ziewać. Takie przynajmniej wrażenie odnosiła Anczowa i za nią to powtarzamy, naszym bowiem zdaniem zwierzęta nie są zdolne do takiej perfidii, spotykaney wyłącznie u niskich i podłych charakterów. Śluszność naszego zdania zdaje się potwierdzać fakt, że natychmiast po owym demonstracyjnie ironicznym ziewaniu, Niki obsypywała swoją panią czułościami które mogły pochodzić tylko ze

źródła miłości. Stawała na tylnych łapach, kładła łeb na kolanach Anczowej i wpatrzona w jej twarz, zaczynała sapać. W tej niewygodnej pozycji potrafiła stać bez ruchu dobry kwadrans, napawając się ukochanym ciepłem ciała pani i przekazując jej bicie swego serca ; czasem, kiedy ruch kolan ścisnął trochę przez nieuwagę krtań suchy, wciągane w płuca powietrze wydawało lekki charczący świst. Anczowa dla uspokojenia głaskała ją po łebku, a Niki z wdzięczności namiętnie machała przyciętym ogonkiem, którego koniec zdobiły trzy sterzące długie włosy. Jedyną radość, jaka jej w życiu pozostała — spacer i uganianie się za rzuconym kamieniem — bez żalu oddawała za pieszczotę. Niki była sentymentalna.

Kiedy jej tylne łapy drętwiały w niewygodnej pozycji, przysiadła znowu na podłodze przy stołeczku, na którym Anczowa trzymała nogi. Po obiedzie zbierało jej się zawsze na drzemkę. Wiemy że psy, podobnie jak Napoleon, potrafią spać byle gdzie i o każdej porze. Zabawne było obserwować jak stopniowo morzył ją sen, zupełnie tak samo jak siedzącego człowieka. Najpierw mrugała, potem łebek kiwał się raz i drugi, wreszcie opadał na pierś. Budził ją nagły wstrząs, znowu podnosiła łeb i wlepiła w panią czarne ślepia. Patrzyła tak chwilę, aż powieki znowu zaczynały opadać a łebek kiwał się jeszcze bardziej. Wkrótce spod białych rzęs widać już było tylko wąziutki czarny paseczek. W końcu, jakby pogodzona z nieuchronnym losem, osuwała się głęboko wzdychając na podłogę i wygodnie rozkładała wszystkie cztery łapy. Spała.



Kiedy jednak spacer nad Dunajem dochodził do skutku, w wychudzonym i wątłym ciele odzywało się nagle tyle siły, że Niki niemal wyskakiwała z wyliniałej skóry. Ale w porównaniu z pierwszym okresem młodości łatwiej się teraz męczyła i nie wytrzymywała wszystkiego, na co miała ochotę. Chętnie by się bawiła od rana do wieczora, gdyby nie odmawiały jej posłuszeństwa mięśnie, serce i płuca. Kiedy dochodziły do nadbrzeża i Anczowa schylała się po pierwszy kamień, bulwar wypełniał się nagle na całej swej długości rozbieganą, pędzącą i rozszechkaną Niki. Była wszędzie jednocześnie. Sama jedna wносиła na

bulwar tyle ruchu i życia, tyle wybuchowej radości, że przechodnie zatrzymywali się i albo z życzliwym uśmiechem, albo niechętnie przyglądali się hałaśliwemu widowisku. Chcąc wiernie przedstawić fakty musimy niestety stwierdzić, że w tym okresie więcej było gapiów usposobionych niechętnie niż pogodnych. Zniesienie systemu kartkowego, połączone ze znaczną podwyżką cen i nieuchronnym obniżaniem stopy życiowej, zwarzyło ludziom humory. Mnożyły się złośliwe przyczinki o „luksusowych pieskach” i nieraz dawały się słyszeć uwagi, że „człowiek głoduje, ale niektórych stać na trzymanie psa”, lub pytania w rodzaju „czy paniusia karmi swego psiapsiusia szyneczką czy kiełbaską?”. Anczowa zaś, która jak mogła tak starała się dotychczas nie zwracać na siebie uwagi, teraz jak prawdziwa matka gotowa była na każde męczeństwo w obronie swej suczki. Miała przecież czyste sumienie.

Schylała się i podnosiła kamień. W tej samej chwili, z taką samą szybkością z jaką wznosiła rękę, Niki skakała prostopadłe w górę, jakby chciała kamień chwycić w powietrzu. W locie robiła błyskawiczny zwrot dokoła własnej osi i znowu przysiadła u stóp pani. Dopóki kamień nie opuścił dłoni Anczowej, Niki bez przerwy fruwała i kręciła się w skokach jak fryga, zatrzymując się na ułamek sekundy dopiero wtedy, kiedy wysokim łukiem zawisał w powietrzu. Niestety Anczowa, jak większość kobiet, nie umiała rzucać z nadgarstka i łokcia, lecz brała zamach całym ramieniem, kamień więc robił nie więcej niż dziesięć — piętnaście metrów; śmieszna odległość, dla Niki za mało nawet na jeden ząb! Ledwie zdążyła wydać z siebie dwa lub trzy zdyszane łowieckie szczeknięcia, a już dopadała łupu; nachylała się trochę bokiem, kładła łeb na bruku i delikatnie chwyciwszy kamień w zęby radosnym klusem wracała do pani, składając zdobycz u jej stóp. Anczowa sięgała po kamień i znowu go rzucała.

Naturalnie zabawa wyglądała zupełnie inaczej, gdy kamień trafiał do męskiej ręki. Współlokatorem Anczowej był elektrotechnik z Zakładów Ganza, zwanych obecnie Zakładami Elektrotechnicznymi im. Klementa Gottwalda. Wkrótce po wprowadzeniu się wraz z żoną do mieszkania Anczowej zaprzyjaźnił się wbrew wszelkim zwyczajom i tradycjom współlokatorskim, ze spokojną i smutną gospodynią, a więc także i z jej psem, i nieraz wieczorem

oboje towarzyszyli jej podczas spacerów na bulwarze, zaprzeczając własnym przykładem rozpowszechnionemu w Peszcie przesądowi, że ludzie nie mogą z sobą współżyć. Ten drobny robotnik w okularach chyba dzięki jakimś czarom nie zmieniał się nawet jako współlokator ani w krwiożerczego tygrysa ani w hienę łaknącą padliny, i zamiast nocą gołymi rękami udusić Anczową, zapraszał ją od czasu do czasu na szklanę wina, dla Niki zaś przynosił z fabrycznej stołówki cielece kości z chrząstkami. Gawędził z nimi zwyczajnym ludzkim głosem, po węgiersku, jak każdy dobry obywatel Pesztu, dopytując się czy są jakieś wiadomości o inżynierze i pocieszając Anczową, jeśli każały na siebie zbyt długo czekać. Po takich wieczorach nie dezynfekował ani języka ani rąk, a mimo to budził się nazajutrz we własnym łóżku zdrów i cały. Cywilną odwagę, którą u tak wątłego człowieczka w okularach można nazwać niemal zboczeniem posunął tak daleko, że w fabryce poruszył sprawę Anczowej i przy jakiejś sposobności spytał sekretarza organizacji partyjnej, czy żona przestępcy politycznego, choć sama niewinna, musi być koniecznie dla dobra socjalizmu skazana na śmierć gilotynową.

Kiedy więc współlokator chwycił w swoje ręce ster, to znaczy kamień, cała zabawa od razu zmieniała charakter. Ponieważ kamieniem rzucał na męską modłę, a więc z nadgarstka i łokcia, obie zainteresowane strony czerpały z zabawy najczystszą radość. Niki pięknymi długimi susami, wytrwale, do upadłego, ganiała za padającym daleko kamieniem, a gdy go chwyciała w zęby, wracała radosnym klusem, ze ślepiami promieniejącymi zadowoleniem, jak po sumiennie wykonanej pracy. Kamień nie miał co prawda czterech łap, ani zajęczego zapachu i sterczących uszu, ale nie odbierało jej to wcale złudzenia rzeczywistości: czego odmawiało jej realne życie, to uzupełniała sobie giętką i bujną jak u dziecka wyobraźnią. Wprost rozkosz sprawiało patrzeć, jak podczas tych krótkich chwil w małym ciele suczki znów dochodziły do głosu siła i piękno, jak każdy mięsień i każde ścięgno pracowały zgodnie dla owej całości stworzonej przez naturę. Anczowa lubiła szczególnie chwilę, kiedy suczka czekała na rzucenie kamienia już trzymanego w ręku. Przykucała na drgających oczekiwaniem łapach, każdym mięśniem i nerwem gotowa do skoku, skurczona do połowy swego

zwykłego wzrostu, i nieruchomo wpatrywała się w rozhuśtaną rękę, jakby wszystkie siły skoncentrowała w błyszczących czarnych ślepiach. Gdyby kto chciał narysować symbol Skupionej Uwagi, mógłby wziąć na wzór drobny biały łebek suczki, z chciwie wpatrzonymi w jeden punkt czarnymi, mądrymi ślepiami; drgający jak rozruszany motor smukły tułów zdawał się każdą cząsteczką wyczerkiwać momentu, kiedy będzie mógł spełnić wyznaczone zadanie. W chwili gdy wyrzucony kamień wzbijał się w powietrze, cała siła ześrodkowana we wzroku wracała do ciała, Niki wyskakiwała w górę, w locie obracała się dookoła własnej osi, opadała na szeroko rozstawione łapy i bez przerwy ujadając gnała z niewiarygodną szybkością. Już przedtem wspomnieliśmy, że nawet największe wilczury nie były w stanie jej dogonić.

Widać było, że Niki o wiele lepiej się bawi, gdy kamienie rzuca współlokator; była nawet skłonna dla zupełnie obcego mężczyzny porzucić na jakiś czas własną panią. Choć z pewnym wstydem, ale musimy wyznać, że perspektywą krótkiej zabawy można było zwabić suczkę na koniec świata i mamy na to dowody. Gdy bawiła się z jakimkolwiek obcym mężczyzną, próżno ją Anczowa przywoływała, próżno gwizdała — Niki nie przerywała igraszek. Z postawionym sztywno ogonkiem uganiała się za obcym człowiekiem, najwyżej od czasu do czasu rzucała okiem w stronę pani; Anczowa miała w takich razach wrażenie, że w spojrzeniu suczki czai się spora doza chępliwości a nawet bezczelności, jakby mówiła: „Możesz sobie gwizdać!” Przy odrobinie dobrej woli możemy to sobie wytłumaczyć inaczej. Możliwe że Niki spoglądała za siebie usprawiedliwiająco, z innym wyrazem w spojrzeniu: „Bardzo mi przykro, ale to jest silniejsze ode mnie, całuję rączki, do widzenia!” Tym niemniej Anczowa traciła chwilami wiarę w psią uczciwość, ale było to naturalnie zupełnie bezpodstawne. Abstrahując jednak od tych nieczęstych i krótkotrwałych zabaw z obcymi, codzienny popołudniowy spacer i zwykła zabawa we dwójkę dobrze robiły nie tylko suczce, ale także jej pani, dla której stanowiły odprężenie i wytchnienie. Zyskiwała na tym, że innemu stworzeniu dawała coś z siebie.

Ta systematyczna codzienna praca miała także zbawienny wpływ na psa. Czy można to nazwać pracą?

Na pewno, chociaż pod pewnym względem była to praca syzyfowa, a więc nie to samo co udane, albo nawet nie udane polowanie na zającą lub szczura; polowanie bowiem jest zajęciem nie obciążonym skutkami grzechu pierworodnego i stanowi jednocześnie pracę i rozrywkę. Wydaje nam się, że w zwierzęcym świecie myśli nie ma różnicy między tymi dwoma pojęciami, których pierwotna jedność rozpadła się dopiero w niezdarnych rękach człowieka; z tego punktu widzenia polowanie na zającą było dla Niki pracą, która przeradzała się w rozrywkę, rzucanie kamieniem natomiast — mimo podniecającej rozkoszy, jaką dawało psu — rozrywką zamienioną w pracę. Rozrywka ta, podobnie jak przedtem piłka, stopniowo stała się nałogiem. Niki przynosiła kamienie do domu, bo i tu chciała dalej pracować. W całym mieszkaniu poniewierały się kamienie i Anczowa na próżno je uprzątała; nazajutrz znowu się o któryś potykała, gdyż suczka ukrywała je to pod dywanem, to w jakichś sobie tylko znanych zakamarkach. Stawała na tylnych łapach przed takim wygrzebanym z kąta kamieniem, jakby miała się rzucić na przycupniętą myszkę, nagłym ruchem opadała na przednie łapy, chwytając kamień w zęby i z triumfem składała go u nóg pani. Ogarnięta myśliwskim szałem, tak dalece zatracala zdrowy sąd, że pewnego dnia, kiedy Anczowa leżała na tapczanie, Niki położyła kamień przed butami stojącymi w drugim końcu pokoju i zawzięcie kręcąc ogonem warowała z lśnącymi ślepiami, czekając aż któryś but sam kopnie kamień.

W owym okresie panował ogólny nastrój przygnębienia. Andrasz Patyi — tak się nazywał współlokator Anczowej, ów krótkowzroczny i niepozorny robotnik — zawsze twierdził, że konieczne jest wykonanie planu, i to z nadwyżką; kiedy jednak przynosił do domu dwutygodniową wypłatę, z trudem udawało mu się uspokoić żonę i rodzące się podczas ostrej wymiany zdań własne wątpliwości. Któregoś dnia, w chwili szczególnego rozgoryczenia, zwierzył się sąsiadce że planowanie to co prawda dobra rzecz, ale „nie zostało skrojone na naszą miarę”. Daremnie ludzie wkładają w pracę całą duszę, wszyscy razem nie zdołają zarobić tyle, ile trzeba na niezliczone urzędy i auta z zasuniętymi firankami. „Dużo gadania, a głupiemu radość” powtarzał swoje ulubione powiedzonko, które

kiedyś na ogólnej naradzie zakładowej wzbudziło głośny lecz natychmiast zdławiony objaw uznania. Zdarzyło się raz, że w dniu wypłaty Patyi wrócił do domu pijany jak bela. Niki w ciągu długotrwałej przyjaźni nigdy jeszcze nie widziała go w stanie nietrzeźwym : jak zwykle, słysząc obracający się w zamku klucz, wprosiła się do przedpokoju i radosnymi skokami powitała sąsiada. Po chwili Anczowa usłyszała z pokoju przeciągły bolesny skowyt, a po nim tępy odgłos uderzenia i znowu ciche skomlenie.

Nazajutrz Patyi sam wstydził się swego postępków i czatował w przedpokoju na Anczową aby się wytłumaczyć, ale sąsiadka unikała spotkania z nim i tego dnia i następnych. Wreszcie Patyi zapukał i nerwowo poprawiając na nosie okulary, przeprosił Anczową, w czym dopomagała mu żona tłumacząc, że pierwszy raz od dziecięciu lat widziała go pijanym ; nie dlatego się upił, że zachciało mu się pohulać, ale dlatego że wyznaczono go do trójki agitacyjnej z okazji rozpisania trzeciej Pożyczki Pokoju : miał przekonywać ludzi, że podniosła się stopa życiowa. Anczowa zrozumiała co prawda jego rozgorzczenie, ale poprzedni przyjazny stosunek nie dał się już przywrócić. Gotowe do przebaczenia czułe serce Niki gnało ją wprawdzie nazajutrz do przedpokoju na powitanie sąsiada, ale Anczowa jej nie wypuściła. Ranka po kopniaku była tak wrażliwa, że najmniejsze draśnięcie wywoływało w oczach suczki łzy bólu.

Od czasu nawiązania przyjaźni z sąsiadami, Niki jakby zupełnie zapomniała o swym panu i co dzień po południu wyczekiwała powrotu współlokatora. Nocą nie zwracała już uwagi na dzwonek u dozorczy ; kiedy Patyi był w domu — o zmroku, gdy zapalano światło — spokojnie kładła się na swym legowisku i po chwili już drzemała. Może właśnie dlatego Anczowa miała do sąsiada większy żal, niżby to uzasadniało jego jedyne przewinienie. Suczka przestała myśleć o inżynierze. Trudno powiedzieć, czy zupełnie o nim zapomniała, czy też właśnie popołudniowy zgrzyt klucza i powrót sąsiada do domu przywodziły jej na myśl nieobecnego pana. W każdym razie nie da się zaprzeczyć, że teraz tylko między piątą a szóstą po południu nadstawiała uszu i siedząc przy samych drzwiach, wsłuchiwała się w odgłosy dochodzące z klatki schodowej ; ponieważ zaś Patyi nie wracał późno, porzuciła zwyczaj

nocnego czuwania. Prawda, bywało że i teraz zrywała się w nocy i pędziła do drzwi, ale przeważnie już w połowie drogi zawracała na legowisko. A zresztą w jaki sposób, w jakim języku mogłaby powiedzieć Anczowej, że wciąż oczekuje powrotu inżyniera? Czyżby Anczowa chciała, żeby sucze pękło serce? Jej własne przecież było tylko głęboko zranione. Bardzo to ludzka cecha, że człowiek więcej oczekuje od bliźnich niż od siebie samego, i nawet łagodne i subtelne dusze kobiece zatracają poczucie umiaru pod wpływem egoizmu zrodzonego z miłości. Jakże się tu dziwić prostej kobiecie, jeśli doświadczeni, wytrawni mężowie stanu narzucają ludowi rzeczy, które sami niechętnie by znosili, na przykład współlokatorów, zacierkę na obiad i kolację, dojeżdżanie tramwajem do pracy, surowość obyczajów i męczeńską śmierć. Podobnie więc w najgłębszym zakamarku serca Anczowej na samym dniu jej podświadomości, czaiła się myśl że mogłaby ją zaspokoić tylko tragiczna śmierć Niki spowodowana rozpaczą po utracie pana.

Tym niemniej gdy Anczowa po raz pierwszy odwiedziła męża w więzieniu śledczym, po powrocie do domu na sucze wyładowała wezbrane uczucia. Rozpłakała się i wzięła ją na kolana. Niki nie często widywała swoją panią we łzach i wzruszenie kobiety udzieliło się wkrótce jej wrażliwym nerwom. Niespokojnie kręciła się w objęciach Anczowej, w końcu sama zaczęła skomleć i chłodnym czarnym noskiem trącać ją w twarz. W swoim repertuarze Niki miała pewien grymas, który stosowała gdy coś przeskrobała lub gdy o coś prosiła: podciągała górną wargę tak, że ukazywały się dziąsła — jakby się całym pyskiem śmiała — i podskakując w górę, usiłowała wywieszonym jęzorem dosięgnąć twarzy pani. Także teraz, widząc łzy Anczowej, wyszczerzyła po chwili przyjaźnie zęby, podniosła się, a że płacząca zakryła twarz dłońmi, ciepłym językiem lizała ją po karku.



Przez otwarte okno wpadła osa. W słońcu, na fotelu obitym brązowym rypsem, wygrzewała się Niki.

Za oknem, niby daleko odsuniętą fotografię, widać było górę Zamkową i kościół św. Mateusza z uszkodzoną

wieżą. Zdawało się że osa sfrunęła prosto ze szczytu ma-
leńskiej wieży, jakby nagle ożyła jakaś miniaturowa ozdoba.
Pies nawet nie drgnął, tylko wzrokiem śledził zygzaki
jej lotu. Kiedy brzęczący wiaterek przelatywał mu tuż
obok łba, nastawiał uszy.

Było gorąco. Czasem zabłąkał się jakiś powiew,
niosąc od płynącego przed oknami Dunaju ledwie uchwyt-
ny zapach wody. Z ulicy falami dochodziła woń smoły
z mięknącej w promieniach słońca jezdni, albo wyziewy
benzyny przejeżdżających aut. Na rozwieszonym w pokoju
sznurze schła świeżo uprana bielizna, wesoło wtórując
wilgotnemu zapachowi rozśłonecznionej rzeki.

Wiosenny szal ogarnął cały skwer zajmujący środek
placu Marii Jasai ; trzask pękających na drzewach pąków
niemal zagłuszał dzwonienie tramwajów przejeżdżających
wzdłuż nabrzeża Dunaju i klaksony samochodów z nieco
odleglejszego bulwaru św. Stefana. Chlorofilowa woń liści
wdzierała się do pokoju wraz ze skrzypieniem żwiru pod
krokami przechodniów. Od czasu do czasu przez okno
wpadało dalekie szczekanie psa. Niki nawet się nie poru-
szała, tylko małym czarnym noskiem kręciła to w prawo
to w lewo, zależnie od tego skąd nadpływały fale zapa-
chów.

Przyjrzyjmy jej się : właśnie usiadła i ziewa z taką
lubością, że aż oczy przymyka. Spoza szeroko rozwartej
paszczyki nie widać reszty łba ; jest to prawdziwie zwię-
rzęce ziewnięcie z akompaniamentem wyrażającego rozkosz
wysokiego „a”, od którego cały łeb aż drga i niemal łyzy
nabiegają do ślepiów. W tej chwili brzęczenie osy rozległo
się tuż przy uchu suczki ; kiedy więc przestała ziewać,
znowu szeroko otworzyła pysk i gwałtownie kłapnęła zę-
bami w kierunku uprzykrzonego owada, wystrzegając się
jednak by go nie dosięgnąć : w pamięci pozostało jej pe-
wne bolesne ukłucie i nie miała wcale ochoty tego wspo-
mnienia odświeżać. Osa bzyząc odfrunęła, pies raz i drugi
rzucił za nią okiem, potem zadowolony z siebie wyciągnął
się znowu na fotelu. Biała sierść tak się rozgrzała na
słońcu, że niemal sypała iskrami.

Opiszemy teraz pewien uroczy dzień, jedyny dla
Niki i dla Anczowej piękny dzień w długim szeregu jakże
ciężkich i smutnych ; tak odbijał od poprzedzającego go

i późniejszego ponurego okresu, jak piękna uśmiechnięta dziewczyna, która po wyzdrowieniu wyrwa się z sali szpitalnej przesiąkniętej przykrym odorem pościeli konających. Obie — i pani i suczka — długi czas żyły wspomnieniem tego jednego dnia. Nic nie było w stanie zmącić wtedy ich radości, nawet ułknięcie wstrętnej osy, które przed wieczorem nie ominęło Niki. Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Była niedziela ; jak wiadomo w niedzielę każde, choćby najbardziej posępne miasto, przybiera jakiś naiwne świąteczny i czysty wygląd. Człowiek jest w lepszym humorze, nawet jeśli cały tydzień odpoczywał i w niedzielę nie wie co ze sobą począć. Każdy pracujący wdziewa lepsze ubranie, gospodyni przyrządza świąteczny obiad, a młodzież — tramwajem, na motocyklach czy też łódkami — spieszy w objęcia wiecznie młodej, choć nieco staromodnej natury. Taka słoneczna wiosenna niedziela podrywa nawet starca na łożu boleści i przywodzi mu na myśl wspomnienia dawno minionej młodości : kufel pieniącego się piwa w podmiejskiej gospodzie i prowadzoną pod rękę narzeczoną o płonących policzkach.

O dziesiątej rano Molnar — tak jak się był umówił — podjechał motocyklem z przyczepką po Anczową i suczkę ; postanowili wybrać się do Czobanki, gdzie Anczowa — jak wiemy — przed kilku laty przeżyła prawdziwie szczęśliwą wiosnę i lato z mężem, który wówczas był jeszcze na wolności. Molnar na ten dzień miał inną jeszcze niespodziankę, o której poprzednio raz i drugi tajemniczo wspomniał : wystarał się dla Anczowej o pozwolenie odwiedzenia więźnia pod koniec tygodnia. Od czasu, gdy ich rozdzielono, widziała męża zaledwie raz ; teraz nadzieja choćby najkrótszego zobaczenia się z nim, a może raczej pewność, że jeszcze żyje, zupełnie ją odmieniły : pozbyło się nagle zmarszczek czoło, które Czobanka pamiętała gdy było jeszcze gładkie i młode ; policzki nabrały bladoróżowej barwy, wzmocnionej działaniem wiosennego słońca, a pęknięty, załamujący się głos odzyskał młodocianą dźwięczność. Widocznie zmienił się także i nabrał świeżości emanujący od jej ciała zapach, bo nawet pies coś zauważył. Wiążące panią i suczkę ściśle współzycie, podobne jak fizyczne prawo naczyń połączonych, spowodowało od razu podskoczenie humoru psa.

Trzęsąca, odkryta przyczepka rozhuštała w nich chęć do śmiechu, chociaż gdy ruszyli, Niki z pewną obawą spoglądała to w prawo to w lewo na uciekający do tyłu świat. Przez pierwszych kilka minut trzeba ją było trzymać, żeby na łeb i na szyję nie wyskoczyła z pędzącego motocykla; kiedy jednak dojechali do mostu Stalina, ułożyła się już na kolanach Anczowej, a przy Aquincum zasnęła. W Budakalas z ocknęła się na ujadanie psów, a gdy koło Pomazu skręcili na szosę prowadzącą do Czobanki, znowu usiadła zdradzając dziwne podniecenie i węsząc na wszystkie strony, jakby rozpoznawała woń pobliskich lasów.

Spróbujmy sobie wyobrazić w jakim stanie ducha Anczowa przeszła wąski drewniany mostek prowadzący do małego dwupokojowego domku w ogrodzie, gdzie wraz z mężem spędziła niemal cały szczęśliwy rok. Spróbujmy odtworzyć sobie choćby w przybliżeniu ów stan ducha, czerpiący pożywkę jednocześnie z przeszłości i przyszłości, z życia i ze śmierci; wyobraźmy sobie jaki to rozpętał się wichur, w którym zawirowały fragmenty tysiąca wspomnień i jeden tylko jaśniejszy promyk nadziei; jeśli dobrze wczujemy się w taki stan duszy ludzkiej, to możemy sobie także mniej więcej wyobrazić co przeżywał pies, gdy zobaczył miejsce, gdzie się urodził i gdzie spędził pierwszy szczęśliwy okres swej młodości. Naturalnie trzeba tu uwzględnić pewne różnice. Przypuśćmy nawet że Niki swym słabiutkim narządem rozumu potrafiła zestawić przeszłość z teraźniejszością, ale cóż mogła wiedzieć o przyszłości? Czy była w stanie przewidzieć, co ją spotka choćby nazajutrz? Wprawdzie i my, ludzie, w tych powikłanych czasach nic nie wiemy. Tyle tylko, że w porównaniu z psem trochę dalej świadomie patrzymy w przeszłość i przyszłość, toteż Anczowa na przykład z góry miała pewność, że wieczorem według wszelkiego prawdopodobieństwa wróci do swego mieszkania na placu Rudolfa, noszącym teraz nazwę placu Marii Jasai; pies i tego nie wiedział. Może sądził, że teraz już na zawsze pozostaną w Czobance? Ta absolutna zależność od człowieka upodobniała Niki do więźnia, który nie wie za co został aresztowany i jak długo przesiedzi w więzieniu, albo do kierownika przedsiębiorstwa, który w chwili otrzymania nominacji nie ma pojęcia, jak długo wytrwa na tym sta-

nowisku ; albo do pracownika handlu miejskiego, który nie może zrozumieć czemu z dnia na dzień przenoszą go do innego sklepu na drugim końcu miasta, o półtorej godziny jazdy tramwajem od jego mieszkania ; albo do pisarza, który nie wie po co pisze to co pisze ; albo wreszcie do czytelnika, który nie wiadomo po co to czyta. Tylko obopólna miłość pozwala znosić taką zależność, a w wypadku Niki obie strony nie skąpiły sobie na wzajem tego uczucia. Gdyby natomiast... Ale dajmy temu spokój ! Przecież opisujemy piękny dzień.

Jeśli więc potrafimy wyobrazić sobie duszę psa, której niepewny i mglisty skład molekularny zawierał między innymi radosną możliwość pozostania na zawsze w Czobance, to możemy sobie również odmalować zewnętrzne objawy tego szczęścia. Niki ani na chwilę nie podwinęła ogona, sterczącego do góry niby rozwiana chorągiewka. Z nosem przy ziemi bezustannie kłusowała zygakiem po rozslonecznionym ogrodzie, coraz to powracając do któregoś z ulubionych krzaków bzu, pod pień starego orzecha lub pod schody domu, gdzie ongiś jej pierwsi wielbiciele zostawiali liczne ślady swych dyngusowych zapałów. Czasem bez żadnego widocznego powodu przerywała to kłusowanie i jak małe koźlątko krzywo podskakiwała w górę, odrywając jednocześnie wszystkie cztery łapy od ziemi i cicho ujadając, jakby nie mogła powstrzymać wybuchu śmiechu. Niepohamowana radość tak ją rozpierała, że tratowała nawet wąskie klomby otaczające trawnik, chociaż dawniej było jej to surowo zakazane ; wpadła także za niskie ogrodzenie z kołków, broniące dostępu do jarzynowych grządek i tam radośnie buszowała, nie zdradzając żadnych wyrzutów sumienia ; wreszcie, odwróciwszy do tyłu łeb, z niewinną minką przysiadła i załatwiła co trzeba.

Wyglądało to wszystko tak, jakby poczucie szczęścia rozgrzeszało ją z wszelkiej winy. Kiedy cała trójka napatrzyła się na ogród, wyruszyli na spacer — pies przodem, Anczowa ze swym towarzyszem z tyłu. Molnar podał jej ramię, gdyż odzwyczajona od świeżego powietrza — a może pod wpływem nawału wspomnień — czuła zawrót głowy i niepewnie stała na nogach. Słońce przygrzewało z wiosennym rozmachem, drzewa i krzaki z ufnością wystawiały doń dopiero co rozwinięte jasnozielone listki, które

niby tysiące maleńkich lusterek rozpryskiwały jego blask nad wilgotną ziemią. Samo powietrze lśniło, jakby kto na nie wylał wiadro świetlistej poźłoty.

Niki pierwsza wybiegła z ogrodu, nie czekając na otworzenie furtki. Gdy tylko spostrzegła, że pani zbiera się do wyjścia, jak strzała pognała prosto do wgłębienia gruntu pod sztachetami i prześlizgnęła się pod ogrodzeniem. W ciągu tych kilku lat nie utyla, nie było przecież od czego. Ledwie sącząc się jak zwykle na dnie rowu struga pod wąskim drewnianym mostkiem wezbrała po wiosennych deszczach ; nikt nie zmienił nadłamanej od dawna, spróchniałej deski i pies podbiegł prosto do dziury, jak kiedyś wtykając na chwilę nos w otwór. Po obu stronach rowu rosły pokrzywy, których młode listki ścinała kiedyś Anczowa na pokarm dla kacząt ; Niki i ten zakątek odwiedziła, ostrożnie stąpając po spadzistym zboczku rowu, aż w końcu zupełnie zniknęła w gąszczu pokrzyw i tylko sterczącym ogonem dawała znaki nad zielenią.

Wiemy że wszystkie psy, a szczególnie suki, są ciekawe. W tę ciepłą wiosenną niedzielę ciekawość Niki zdawała się zwracać ku przeszłości ; biegała od krzaka do krzaka, od słupa do słupa, od jednego źdźbła trawy do drugiego, jakby się dopytywała jakie tu zaszły zmiany, albo raczej co pozostało bez zmiany od czasu, gdy ostatni raz tu hasała. Molnar szedł wolnym krokiem, prowadząc pod ramię niezbyt dobrze się czującą towarzyszkę ; nie mógł naturalnie wiedzieć czemu suczka z takim podnieceniem biega zygzakiem w prawo i lewo, co obwąchuje, dlaczego zatrzymuje się co krok, a potem gna dalej i znów wraca na poprzednie miejsce — Anczowa jednak rozumiała każdy jej ruch. Kiedy przeszli drewniany mostek i znaleźli się na szosie, Niki bez namysłu skrzyła w lewo i z widocznym pośpiechem pokłusowała wzdłuż szeregu stojących przy drodze willi ; ale gdy przebiegła kilkadziesiąt kroków, zatrzymała się nagle i przez chwilę stała niezdecydowana pośrodku rozświetlonej szosy ; potem zawróciła i z podwiniętym ogonem wolno podbiegła do swojej pani. Oczywiście chciała odszukać swego dawnego pana, emerytowanego pułkownika, odwiedzić miejsce, gdzie pierwszy raz się oszczeniła i karmiła swe małe. Wtem zatrzymało ją jakieś niemiłe wspomnienie, którego treść zatarła się już może w jej pamięci, ale w sercu

i w zwojach mózgowych ocknął się widać nieokreślony strach, towarzyszący kiedyś przedmiotowi owego wspomnienia. Zawróciła z taką miną, jakby dostała kopniaka.

Molnar nie miał naturalnie pojęcia czemu Anczowej drgnęło ramię, kiedy zbliżyli się do przystanku autobusowego, a pies przeleciał na drugą stronę szosy do tablicy i z widocznym podnieceniem obwąchiwał słup i wydeptaną w pobliżu trawę. Trwało to kilka minut, tak że musieli się nawet zatrzymać i poczekać na Niki. Idąc dalej w kierunku wsi, minęli ogród w którym za płotem rosły trzy olbrzymie włoskie topole, posadzone rzędem w równej od siebie odległości. Drzewa były stare i dostojne, sięgały wysoko między słoneczne promienie niby zaufani strażnicy strzegący przycupniętej za nimi wiejskiej chałupinki, której małe okienka przebłyskiwały spoza żywopłotu z jaśminu i spirei. Anczowa nie zapomniała, jak bardzo kiedyś lubiła przyglądać się tym drzewom: przy silniejszym wietrze drobne, opadające listeczki unosiły się wokół starych pni jak tysiące motyli, przywołując na myśl męską siłę i wdzięk. Czemu jednak teraz Niki zatrzymała się pod topolami, czemu zaczęła gniewnie ujadać i obskakiwać stare pnie, jakby chciała się na nie wdrapać? Dopiero po dłuższej chwili Anczowa przypomniała sobie, że dawno temu, w lipcową księżycową noc, mąż wybrał się tu z pożyczoną wiatrówką na sowy; na jednej z topoli zagnieżdżyła się bowiem sowa rodzina i co noc nieznośnym hukaniem i wrzaskiem zakłócała spokój mieszkańcom sąsiednich domów. Niki obszczekiwała właśnie to radosne wspomnienie ukryte w koronach strzelistych drzew, chociaż sowa gromadka z pewnością dawno się stąd wyniosła lub wyginęła. Suczka obwąchała trzeci z kolei pień, potem spojrzała na swoją panią która ukradkiem otarła łzę, wreszcie wesoło machając ogonkiem pobiegła dalej.

Był to cudowny dzień, pełen radosnych wspomnień. Za ogrodem z trzema topolami, w prawo od szosy, skręcała ścieżka; i tu przerzucono drewniany mostek nad tym samym rowem, który nasi wycieczkowicze już raz przeszli; teraz powtórnie przedostali się na drugą stronę. Brzeg nie był tutaj taki spadzisty, koryto wyrzuszało się, nawet w upalne lato przechowując trochę wody, w której stale chlupała się mniejsza lub większa gromada kaczek i gęsi dla zachowania sprawności płetw i wiecznie

ruchliwych dziobów. Niki, ilekroć zdarzało jej się znaleźć w pobliżu, prosto z szosy skakała do wody, budząc zabawny popłoch wśród pluskających się gęsi i kaczek ; jakby sam diabeł zjawił się wśród nich w niewinnej postaci białej suczki, ptactwo trzepocząc skrzydłami, z kwakaniem i gęganiem, w śmiertelnym przerażeniu rozpieczętało się na wszystkie strony przed spokojnie zażywającym kąpieli pieskiem ; pełne oburzenia, niekończące się pretensje skrzydlatego bractwa długo jeszcze dochodziły na szczyt wzgórza, na które ścieżka, kreśląc po drodze kilka figlarnych zakrętów, wdrapywała się ze sześć lub osiem minut.

Stamtąd, ze szczytu, widok obejmował całą wieś, której oś biegła doliną równolegle do szosy, rozgałęziając się w kierunku boiska piłki nożnej przy ostatnich zabudowaniach ; dalej stało już tylko kilka lepianek zamieszkałych przez osiadłych tu Cyganów. Wokół schludnej, malowniczo położonej wioski, horyzont zamykały pasma wzgórz : od strony Pomazu Oszoly o stromych zboczach ; dalej zaś — łagodniejsze wzniesienia, które sobie z ręki do ręki podawały turystów aż do samego Nagykevely. Ścieżka biegła po grzbietach, a w miejscu gdzie załamywała się nad drogą skręcającą ku boisku stał stary, splukany deszczami krzyż.

W czasie gdy inżynier Ancza miewał jeszcze czas i ochotę na spacer, wybierali przeważnie tę drogę. Ścieżka prowadziła najpierw samą krawędzią grzbietu, tak że można było z góry zaglądać w oświetlone słońcem kominy i w gardziółka kur wydziobujących ziarenka na małych zagonach ; dalej grzbiet wzgórza rozszerzał się w obie strony — z lewej ciągnęły się poletka obsiewane pszenicą i jęczmieniem, z prawej kamienisty ugor upstrzony jakimiś krzakami i zakończony grzebieniem karłowatych akacji. Latem, gdy zapadał migotliwy zmierzch, gdy purpurowej ciszy zachodu nie zakłócali już wycieczkowicze i tylko czasem rozlegał się urwany szczebiot usypiającego ptaka, człowiek łatwiej się tu godził z porządkiem świata.

Teraz jednak słońce świeciło swym pełnym blaskiem, ledwo zieleniejące lasy na zboczach wyglądały jak przeświecone olbrzymią lampą, zapaloną wśród potężnych pni. Tu i ówdzie gąszcz przerywały leśne polanki, które w słońcu tak sugestywnie działały na patrzącego z głębi doliny, że widziało się niemal zwisające wśród trawy

białe latarki śnieżyczek i złociste gwiazdki wczesnych pierwiosnków.

Na dole, przy ścieżce zasłoniętej od południa wzgórzami, nie kwitły jeszcze żadne kwiatki, ale Niki i tak zupełnie nie interesowała się florą. Jak każdy porządny pies, nie znosiła zapachu kwiatów. Całym ciałem, całą duszą i nosem wchłaniała przemożny zapach wiosny płynący z ziemi, potężną woń odradzającego się życia, w której naturalnie snuł się i aromat kwiatów wyrastających z gnijącego listowia ; tak jak na niedzielną ciszę zalegającą lesiste zbocza składały się dźwięki odległych kościelnych dzwonów, głosy plotkujących po nabożeństwie kobiet, krzyki dochodzące z karczmy, szelest wiatru, brzęczenie osy i nieustanny jazgot kaczek i gęsi, które wciąż jeszcze wspominały kąpiącego się w ich bajorze psa. Konieczne tu jest pewnie nieco naiwne uogólnienie wyrażające stan psychiczny Niki : wabiło ją życie.

Im dalej szli, tym suka wydawała się bardziej rozhułkana i wesoła. Ani na chwilę nie przystawała i węszyła/ zajadła po obu stronach ścieżki, coraz wracając do Anczowej, jakby jej chciała opowiedzieć o każdym nowym odkryciu i zarazem zapewnić, że mimo nieopisanej szczęśliwości nie zapomina o niej. Zygzakiem biegła od krzaka do skały, od głazu do zarośli, a jeśli coś po drodze opuściła to nawet z daleka wracała by dać dowód swej nieprzemijającej miłości i zainteresowania. Choć przedtem nie miała tego zwyczaju, wciąż wydawała jakieś głosy : to ujadała, to warczała, to poszczekiwała, to znów przekomarzała się z wiejącym jej w uszy wiatrem. Kiedy odkryła pierwsze kretowisko, Molnar i jego towarzyszka musieli przystanąć i poczekać : po krótkiej chwili widać było już tylko białe zadek i ogon wystający z trawy. Kiedy znów się pokazała, pysk miała zupełnie unurzany w ziemi, ale mimo to można bez przesady powiedzieć, że promieniała ze szczęścia. Nawet się nie otrzepała, szkoda było na to czasu, i już pędziła dalej, co jakiś czas odwracając upaprana mordkę ku swej pani i nagle znowu się podrywając, by nie prze-gapić pszczoły przelatującej z brzękiem koło nosa. Czasem zapędzała się na obsiane pszenicą pole i tylko białe grzbiety wyłaniały się z zielonych fal ; raz po raz posyłała za siebie uspokajające szczeknięcia i po chwili wyrastała na powrót jak spod ziemi u stóp swej pani, żeby się pochwalić nastro-

szoną sierścią i wywieszonym z roześmianego pyska zzią-
janym jęzorem. Ale już w następnej sekundzie pędziła
z wiatrem w zawody.

Trzeba stwierdzić, że w tych dziecinnych gonitwach
nie było żadnej metody, że nic nie zdradzało w nich jakiej-
kolwiek świadomości celu. Nie wypatrywała wiewiórek,
nie płoszyła zajęcy, a tropienie kretów też jej się prędko
sprzykrzyło, ot tyle tylko, że zakosztowała ich aksamit-
nego zapachu. Każdą rzecz obejrzała, a raczej obwąchała,
i już gnała do innego wspomnienia. Anczowa miała wra-
żenie, że dla Niki ten spacer stanowi jakieś uroczyste
widowisko czy na wielką skalę zakrojone święto powitania,
w które chce wciągnąć swą panią, widocznie z wdzięczno-
ści za przywiezienie jej tutaj. Zachowywała się jak małe
dziecko, które po kawałeczku odkrywając i poznając
świat, co chwila z radosnym piskiem podbiega do matki
i szarpie ją za spódnicę. Z pośpiechem ganiała od krzaka
do krzaka, od kamienia do kamienia, od rozpadliny do
rowu, od kretowiska do krowiego placka, od ukrytej w
trawie białej kaszki do gorzko pachnącego liścia łośpianu :
ledwie zdążyła stwierdzić, że są — że dzięki Bogu są na
miejscu ! — już pędziła dalej, odkładając do następnego
dnia obszerniejsze rozmowy. Nie miała ani cienia wątpli-
wości, że nazajutrz, za dwa dni, za trzy, zawsze już
będzie żyła tą chwilą, która nie ma granic ani w przeszło-
ści ani w przyszłości. Ażeby tę olbrzymią przestrzeń, się-
gającą coraz dalej wstecz i naprzód, oblecieć w ciągu
dwóch godzin, nabiegała się więcej niż w Peszcie przez
całe dwa lata.

Ale i to bezustanne radosne szaleństwo zostało raz
zakłócone — zauważyła to Anczowa, która tego dnia
także żyła wspomnieniami. Dochodziło właśnie południe,
promienie słońca pionowo padały na szczyt wzgórza. Gdy
się wyteżyło słuch, z jednej i drugiej strony nadpływało
dalekie bicie dzwonów, podobne do brzęczenia odfruwa-
jącej pszczoły, które staje się coraz bardziej nieuchwytnie
dla ludzkiego ucha. Przez cały ranek wiatr ani na chwilę
nie ustawał na wzniesieniu, teraz jednak przycichł i tylko
na przydrożnym krzaku żarnowca chwiał się jeden jedyny
listek, jakby poruszany zbłąkanym podmuchem. Daleko
w dolinie, na boisku, chłopcy w czerwonych koszulkach
beżgłośnie kopali piłkę, a nieopodal mały łaciaty psiak

ujadał ganiając po łące, ale jego szczekanie zdawało się tak ciche jak własny oddech człowieka. W tej uroczystej ciszy, która była jakby bezcielesnym obrazem wszelakiej ziemskiej ciszy, rozległ się nagle suchy trzask.

Anczowa miała wrażenie, że jakaś gałązka złamała się tuż za nią i mimo woli odwróciła głowę. O jakich pięćdziesiąt kroków w prawo od ścieżki, pod krzakiem, siedział na tylnych łapach zając i wyciągnawszy w górę łebek, ogryzał młode listki. W ostrym południowym świetle, które przenikało drgające powietrze, wyraźnie było widać jego trochę wyłupiaste, głupawe czarne ślepie, podobne do oczu krótkowidza, bezustannie poruszające się ciemne nozdrza i sterczące nad grubą górną wargą długie wąsiska. Dobrze widoczny w tym ruchu nabrzmiały brzuszek o jaśniejszej barwie zdradzał, że była to ciężarna samica.

Niki odwróciła się jednocześnie z Anczową, z pewnością na ten sam odgłos trzasku gałązki. Chociaż, jak wiemy, wzrok miała nie najlepszy, od razu spostrzegła zająca, który spokojnie dalej zjadał młode pędy, gdyż wietrzyk dmuchał z jego strony. Niki stanęła jak wryta, zesztyniała, ani jeden włos w jej sierści nie drgnął. Wyglądała jak łaciata rzeźba. Potem podniosła przednią łapę i poruszyła nozdrzami. W następnej chwili pies i zając utonęły równocześnie w przydrożnych zaroślach.

To wydarzenie nazwaliśmy zakłóceniem radosnego nastroju psa, ale bardziej po prostu i prawdziwiej powinniśmy je uznać za porażkę.

Przypomnijmy sobie pierwsze polowanie na zająca opisane na początku tego psiego życiorysu. Pozornie między tamtą przygodą a obecną jedyną różnicę stanowił czas jej trwania: wtedy pies wrócił po całej godzinie, teraz upłynął zaledwie kwadrans, a już był z powrotem przy swej pani. Naturalnie także bez zdobyczy, równie zziębnięty, z wywieszonym do ziemi jęzorem i tak samo głupawo zawstydzonym pyskiem jak wówczas. Tym razem jednak — powtarzamy, że wrócił po piętnastu czy może nawet tylko dziesięciu minutach — ledwie przybiegł, rzucił się na pokrytą pyłem drogę, sztywno wyciągnął wszystkie cztery łapy i dyszał patrząc przed siebie nieruchomym wzrokiem. Boki mu chodziły jak miech kowalski, łapy drżały, język sięgał ziemi. Zaledwie pięć

lat dzieliło te dwa polowania, a Niki jakby się przez ten czas zestarzała o pięćdziesiąt.

Być może, to zmęczenie spowodowane przedwczesną starością tylko Anczowa uważała za porażkę, Niki zaś, bez zagłębiania się w zawiłe rozważania, czuła się po prostu zmęczona. Faktem jest jednak, że długo leżała nie chcąc się podnieść, a kiedy wreszcie niechętnie wstała, z podwiniętym ogonem i opuszczonymi uszami powlokła się za swoją panią, przystając co chwila i pokładając się na ścieżce. Anczowa obserwowała ją jakiś czas, potem zawróciła w kierunku dawnego mieszkania. Po drodze spytała Molnara, czy w ciągu ostatnich pięciu lat bardzo się zestarzała. Mężczyzna pochylił swą dużą, grubo ciosaną głowę, zmierzył Anczową wzrokiem jak konia i zmarszczył czoło.

— Tak — odparł z właściwą sobie niezdolnością lapidarnością, przypominającą czołowych aktywistów zakładowych, albo — idąc dalej w głąb historii — samego Demostenesa.

Psy nie umieją udawać — w czym, jak wiadomo, podobne są do ludzi — gdyż ogon, który odzwierciedla każde drgnienie ich duszy, natychmiast je zdradza. W drodze powrotnej Niki długo jeszcze szła ze zwieszonym ku ziemi krótkim białym ogonkiem i dopiero gdy zbliżali się do wsi pobiegła naprzód, od czasu do czasu podnosząc swą czułą flagę na zadku, a nawet lekko nią pomachując. Gdy doszli do kaczego bajorka, znowu się wykapała; tak długo i chciwie chleptała wodę, że niemal zupełnie osuszyła stawek pod głośno protestującym ptactwem. Wyraźnie się odświeżyła i odzyskała siły, tak że na krótkiej przestrzeni dzielącej ich od dawnego mieszkania Anczów przegnała dwa koty i wścibski babski nos wetknęła do trzech obcych ogrodów.

W miarę jak zbliżał się wieczór, uczucie poniesionej porażki — o ile w ogóle zagościło w duszy Niki — ulotniło się bez śladu. Podobnie jak chmura gnana silnym wiatrem zasnuwa na chwilę słońce i zaciemnia niebo, ale gdy odpłynie świat się od razu rozjaśnia — tak samo suczka, gdy minęło zmęczenie, znów zaczęła promienieć. Robiła wrażenie, jakby przeżycia tego dnia nie pozostawiły w jej duszy żadnej rysy. O zmierzchu odświeżająca wiosenna ulewa nawiedziła Czobankę, pochłoneła pył, spryskała

zieleni, drogi usiała wesoło lśniącymi kałużami. Po deszczu mocny i cierpki zapach ziemi tak się rozpostarł nad całą okolicą, że Anczowa nie mogła się zdecydować na powrót do miasta. Po burzy zachodzące słońce ubarwiło niebo na kolor krwistej czerwieni, a wykwitające przez szpary w chmurach pęki purpurowych promieni rozpalały na wzgórzach pożegnalne ogniska, które na chwilę buchwały płomieniem, by zaraz przygasnąć. Nad szczytem Nagykevely sklepienie nieba było krwawe i poryte jak pole bitwy pod Woroneżem.

W przyczepce motocykla Niki natychmiast zasnęła. Śmiertelnie znużona, spała jak kamień, szczęśliwa w objęciach swej pani, z jednym uchem podwiniętym pod łebek a drugim ufnie rozplaszczonym na kolanie Anczowej. Od czasu do czasu głośno sapała przez sen, ale nawet w Budakasz nie obudziły jej ujadające za motocyklem psy. Gdy zatrzymali się na placu Marii Jasai — dawnym placu Rudolfa — od razu wyskoczyła z kosza, szeroko ziewnęła i pomknęła prosto do bramy.

Podczas wycieczki do Czobanki Anczowa postanowiła, że z wiosną poszuka dla suczki pary. Przecież pozbawiła ją wszystkiego, czego domaga się psia natura, nie wolno było zatem odbierać jej prawa do macierzyństwa. Może wydanie na świat potomstwa zdolne będzie przywrócić jej przedwcześnie zanikającą młodość.



Do tego już jednak nie doszło, gdyż wkrótce po wycieczce do Czobanki pies się rozchorował. Pewnego wieczoru na bulwarze, podczas aportowania kamienia, Niki nagle przerwała zabawę, jakby jej się ni stąd ni z owąd znudziła. W pół drogi do spadającego kamienia zwolniła biegu, przystanąła, chwilę niezdecydowana patrzyła przed siebie, potem zawróciła i z podwiniętym pod siebie ogonem powlokła się z powrotem do Anczowej. Kiedy idąc dalej doszły do rzuconego kamienia odnalazła go, obwąchała, chwyciła nawet w zęby, ale prawie zaraz upuściła, jakby jej nie smakował, i wróciła do swej pani. Tego wieczoru nie chciała już jeść, a gdy zapadł zmrok i trzeba było zapalić światło, ukryła się w najciemniejszym kącie pokoju za koszem do papierów.

Anczowa wzięła suczkę na kolana i obejrzała jej dokładnie łapy i pazury, czy przypadkiem biegając nie skaleczyła się na jakimś stłuczonym szkłe. Wiedziała, że psina jest delikatna jak mimoza i rozkapryszona, że gdy jej cokolwiek dolega czuje się śmiertelnie obolała, toteż nie trzeba takich fanaberii brać zbyt poważnie. Anczowa pamiętała, że kiedyś ułucie osy Niki przeżywała jak największe nieszczęście, niemal jak zamach na swe życie : rozpaczliwie skowycząc schowała się pod krzesło w kącie pokoju, potem zaś, jakby to schronienie nie było wystarczające przy tak straszliwym cierpieniu, wczołgała się pod łóżko i w grobową ciszę spowiła swój ból. Dopiero po kilku godzinach udało się ją stamtąd wywabić ; wylazła spod łóżka z obrażoną miną, jakby cały świat czyniła odpowiedzialnym za swe męki. Położyła się na grzbiecie i odgrywała rolę starej panny, której za dobry uczynek odpłacono czarną niewdzięcznością. Z bolesciwym wyrazem pyszczka wyciągnęła spuchniętą łapę do swej pani, dając do zrozumienia, że ma już dość wszystkiego, i że jej życie zupełnie obrzydło.

Tym razem jednak Anczowa nie znalazła żadnego zewnętrznego śladu skaleczenia. Nazajutrz suczka nie odzyskała humoru i nawet nie tknęła jedzenia. Często liżała sobie nos, widocznie się przeziębila. Kilka też razy zakaszlała owym cichym, zrezygnowanym kaszlem, jakim skromny człowiek maskuje a zarazem zdradza swą chorobę ; po każdym kaszlnięciu patrzyła tępo przed siebie z opuszczonymi uszami, jakby nie rozumiała co się z nią dzieje. Od czasu do czasu kichała i to robiło najprzykrzejsze wrażenie na Anczowej, gdyż brzmiało jak kichnięcie człowieka, albo raczej bardzo przeziębionego dziecka. Anczowa przełamała tabletkę aspiryny i przytrzymując otwarty pysk, wsunęła suczce połówkę do gardła. Niki obrażona skryła się pod łóżko. Po trzech dniach, dzięki dalszym dwom porcjom aspiryny, kaszel ustał a nos wysychał.

Chore zwierzę bardziej wzrusza niż chory człowiek, gdyż nie prosi o pomoc i niechętnie pomoc przyjmuje. By się wyleczyć, nie idzie do szpitala, lecz szuka samotności. Właśnie milczenie Niki wskazało Anczowej, że suczka jest chora. to znaczy że tym razem nie chodzi o byle ułucie osy. Niki całymi dniami nie wydawała głosu, nie było jej w ogóle słychać. Do tego stopnia, że nawet sąsiadka

kiedyś zapukała pytając, czy pies przypadkiem nie zginął, albo czy nie został komuś oddany. Suczka nie ruszała się ze swego legowiska, nie reagowała nawet na codzienny powrót z pracy sąsiada, a jeśli podniosła czasem łeb na odgłos znajomych kroków, to najwyżej zmęczone spojrzenie kierowała na wewnętrzne drzwi i znowu się kładła. Rano i w południe, gdy ją Anczowa wyprowadzała na spacer, trzeba ją było kilka razy zawołać, zanim leniwie i niechętnie zwlekała się z legowiska i drżąc na całym ciele, w milczeniu dreptała ku drzwiom.

Nie możemy tu ukrywać faktu, że na widok owych fanaberii w Anczowej zbierało się nie mało złości na psa, szczególnie gdy pomyślała, że w obecnych czasach ludzie też muszą nie jedno znosić, a jednak nie przybierają swoich cierpień w tak ostentacyjne formy. Niki tak głośno umiała milczeć, że całe mieszkanie rozbrzmiewało jej milczeniem. Zwijala się w tak maleńki kłębuszek, że cały pokój był jej pełen. Swym bezruchem nieustannie przypominała, że cierpi. W tej przyprowadzającej o szaleństwo ciszy niemożliwością było przestać o niej myśleć. Minęło kilka dni, w ciągu których stale padał deszcz, nisko sunące chmury przesłaniały budajskie góry, nieraz mgła spowijała zupełnie most Małgorzaty, a spoza zamkniętych okien ledwie dochodził gwar ulicy; Anczowa miała chwilami wrażenie, że przebywa w szpitalu lub w więzieniu, gdzie płuca z trudem chwytają zużyte powietrze. Na jej wołanie pies odpowiadał ze swego legowiska tylko spojrzeniem, na powtórne wołanie ledwie dostrzegalnym ruchem poruszał ogonkiem, ale za skarby świata nie chciał się ruszyć z miejsca, tylko niezmiennie tym samym nieruchomym i bolesnym wzrokiem wpatrywał się w twarz swej pani; wzrokiem cierpiącego zwierzęcia, nie wyrażającym ani pytania, ani wyrzutu, ani gniewu; słowa pociechy i głaskanie kwitował odwracaniem łba od kłęczącej obok niego kobiety, jakby w duszy odwracał się od niej i od całego świata. W takich chwilach Anczową ogarniało nieraz uczucie niepohamowanego gniewu, które budziło myśli samobójcze. Traciła niemal panowanie nad sobą i pod wpływem rozstroju nerwowego już-już chciała z psem w ramionach wyskoczyć przez okno albo rzucić się do Dunaju. Raz doszło do tego, że uderzyła psa — pierwszy raz w życiu — a kiedy zbite zwierzę poczołgało się na

brzuchu do swego kąta i schowało łeb pod swoją poduszkę, wpadła w taką rozpacz, że wybiegła z domu i wróciła dopiero późnym wieczorem.

Jak już wspomnieliśmy, Niki w ciągu dwóch dni pozbyła się przeziębienia, ale było jasne, że wciąż jest chora. Anczowa nie mogła dociec co jej dolega, toteż któregoś dnia postanowiła wybrać się do przychodni w Instytucie Weterynarii. Zamierzała pójść tam piechotą, ale psina wkrótce tak opadła z sił, że musiały wsiąść do tramwaju — na szczęście Anczowa zabrała z domu kaganiec. Kiedy znalazły się przed bramą uczelni, Niki wparła się nagle sztywnymi łapami w ziemię i nie chciała iść dalej. Po długich namowach ruszyła co prawda z miejsca, ale kilkanaście kroków dalej znowu przystanęła w ogrodzie z nastroszoną sierścią i zaczęła szarpać smycz. Anczowa próbowała pociągnąć suczkę naprzód, ale Niki trzymała się z uporem swego postanowienia ; nagle zawróciła z całej siły i naciągnęła smycz w przeciwnym kierunku. Obroża wpiła jej się w wychudzoną szyję, dławiała krtań, ale mimo to charcząc nie dawała za wygraną na sztywnych, drżących z wysiłku łapach, rozdrapując piasek i żwir na ścieżce.

Anczowa w obawie że pies się udusi zawróciła do bramy. Trudno było zrozumieć rozpaczliwy strach, który bez żadnego widocznego powodu ogarnął zwierzę. Sierść mu się nastroszyła, źrenice niemal znikły w przekrwionych białkach, oddech ze świstem wydobywał się z płuc. Kiedy Niki odwróciła łeb i spojrzała za siebie na budynek uczelni, ogarnęło ją drżenie, które jak fala przebiegło od zadu przez grzbiet aż do łba ; cały jej wygląd wyrażał przerażenie, jakby za którymś oknem zwęszyła nadprzyrodzoną złą siłę.

Przed bramą Anczowa przyklękała, położyła dłoń na bijącym gwałtownie sercu suczki i długo głąskała ją po łbie. Stopniowo Niki na tyle się uspokoiła, że można ją było wziąć na ręce. Kiedy jednak Anczowa znowu przeszła bramę i skierowała kroki w stronę zabudowań z czerwonej cegły, Niki szarpnęła się jakby ją chwycił kurcz, wywinęła się bokiem i spadła na ziemię. Musiała się przy tym boleśnie potłuc, bo dłuższą chwilę leżała bez ruchu i cicho skomlała.

Przypadek chciał, że w chwili gdy Niki leżała na ziemi, bramę minęła jakaś kobieta w żałobie, niosąca dużą klatkę okrytą granatową płachtą. Krótkie intermezzo, jakie teraz nastąpiło utwierdziło Anczową w przekonaniu, że należy ustąpić wyraźnemu oporowi psa i nie forsować wizyty u weterynarza. Nie umiałyby naturalnie odpowiedzieć, czemu pies broni się przed tym tak dziko i niemal resztkami sił. Kobiety jednak — bardziej niż mężczyźni — skłonne są wierzyć instynktowi : dodajmy jeszcze, że Anczowa znajdowała się o maleńki kobiecy krok bliżej tego mglistego świata wierzeń, który karmi się zabobonami i z przypadkowych zdarzeń wyciąga symboliczne wskazania... Dość że w kilka minut później postanowiła ostatecznie zrezygnować z porady lekarskiej i szarpana wewnętrzzną rozterką, zawróciła wraz z psem w stronę domu.

Czarno ubrana niewiasta z klatką przystanęła na chwilę obok leżącej na ziemi Niki, współczującym wzrokiem przyglądając się skomlającej żałośnie suczce. Przystanęła by z ręki do ręki przełożyć klatkę, i właśnie wtedy zsunęła się granatowa płachta. Za cienkimi, złoconymi prętami ukazała się wielka pstrokata papuga na ruchomym drążku porytym przez ostry dziób ptaka. Żółty piasek nasypyany na podłogę klatki zsunął się przy niesieniu na boki, odkrywając błyszczącą blachę. spod płachty zaleciał ptasi fetor, od którego Anczową aż zamdliło.

Mrużąc ślepia od nagłego blasku, papuga rozglądała się dokoła. Ledwie jednak dojrzała podnoszącego się z trudem białego pieska, ogarnął ją nagły atak wściekłości. Skoczyła z huśtawki na boczne pręty, uczepliła się ich pazurami i potężnym dziobem, a olbrzymie skrzydła rozpostarła na całą szerokość klatki. Trudno zgadnąć czemu widok spokojnie stojącego białego psa tak podniecił papugę, ale to fakt że niemal postradała zmysły z wściekłości. Skrzeczała jak rozszluszczona stara baba, haczykowatym dziobem celowała w psa, i z taką siłą trzepotała lśniącymi w słońcu skrzydłami, że sypały się z nich czerwone, błękitne i zielone pióra.

Skąd ta nienawiść ? — zadawała sobie pytanie Anczowa, kiedy drżąc ze zdenerwowania uciekła wraz z psem za bramę. Cała scena rozegrała się w ciągu jednej czy najwyżej dwóch minut, ale wywołała tak przejmujące

wrażenie, że ilekroć ją sobie Anczowa później przypominała, zawsze przebiegał ją dreszcz. Niemal nieprzytomna papuga histerycznie szarpała dziobem dźwięczące jak struny pręty klatki, wymachiwała skrzydłami i obrzydliwie skrzeczącym, prawie ludzkim głosem darła się w niebogłosy, jakby całe zło naszych czasów znalazło sobie ujście w tym krzyku. Pstry błazeński strój, drobne chytre ślepia i haczykowany nos przywodziły na myśl jakąś cyrkową wersję śmierci, przeniesioną pod Instytut Weterynarii wprost ze średniowiecznego misterium. Anczowa dopiero daleko za bramą uprzytomniła sobie jakie to słowa skrzeczące ptaszysko wypływało ze złością, wskazując dziobem drżącego na całym ciele psa. „Umarł biedaczek... umarł, umarł, umarł!”. Wrzeszczała drwiąco i jeszcze ją było słychać z odległości pięćdziesięciu kroków, kiedy kobieta w żałobie biegła w stronę Instytutu trzymając w jednej ręce rozhuśtaną klatkę, a w drugiej granatową szmatę. Papuga, wczepiona pazurami i dziobem w pręty, wciąż skrzeczała z wzrokiem utkwionym w psa i dopiero trzaśnięcie drzwi przecięło w połowie złowróżbne zdanie.

Długo trwało, zanim Niki jako tako odzyskała równowagę po nerwowym wstrząsie wywołanym tą wyprawą. Nie mając żadnej diagnozy, Anczowa w dalszym ciągu nie wiedziała co dolega psu, można jednak zaryzykować twierdzenie, że nawet Instytut Weterynarii nie byłby w stanie dać dokładniejszego wyjaśnienia. Nauka wciąż jeszcze niewiele wie o chorobach człowieka, a cóż tu mówić o zwierzętach. Albo o duszy! Albo o wzajemnym stosunku ciała i duszy, który jest równie nieznany, jak niektóre zakątki afrykańskiej dżungli. Anczowa na przykład była głęboko przekonana, że coraz gorszy stan fizyczny psa miał bezpośredni związek z jego stanem psychicznym. Kiedy spoglądała na chudnące z dnia na dzień ciało zwierzęcia, na matową, rzadką sierść, która przy głaskaniu całymi kłakami zostawała w dłoni, na sterczące łopatki i kości zadu, na zamglone oczy — była oczywiście raczej skłonna dopatrywać się źródeł choroby w jakichś robakach jelitowych, w nosaciznie, lub w niedomaganiach serca; znała jednak lepiej prawdziwe dolegliwości suczki, a może tylko tak jej się wydawało. „Brak jej swobody” — myślała. Swobody, do której należała także obecność wybranego przez Niki pana. Odczuwała tę nieobecność.

Anczowa nie była zbyt sentymentalna, nie przeceniała nad miarę tego elementu swobody, chociaż miał on niewątpliwie duży wpływ na fizyczne cierpienia psa ; była jednak głęboko przekonana, że chorobotwórczych bakterii nie należy szukać ani w naczyniach krwionośnych, ani w kościach, ani w tkankach, ani w mięśniach.

W tym przekonaniu utwierdziło Anczową i to, że po wycieczce do Czobanki stan psa zaczął się w widoczny sposób z dnia na dzień pogarszać ; jakby ożywione na chwilę wspomnienia dawnego szczęśliwego życia przyspieszyły proces samozatrucia. Z pewnością Niki nie chciała dalej żyć tak, jak żyła teraz. A więc można żyć inaczej ? — zapytywała pewnie samą siebie, myśląc o skąpanym w słońcu wzgórzu lub o kaczym stawie, przy czym we wspomnieniu mgliście rysował się cień postaci inżyniera, idącego z nią na spacer w kapeluszu i z laską w ręce. Tak przecież kiedyś wyglądało moje życie ! Jeśli to już teraz niemożliwe, lepiej w ogóle machnąć na wszystko łapą ! Kto wie, może nawet z żądła po dawnym ukłuciu osy sączył się we wspomnieniu miód ? W przekonaniu Anczowej na tym właśnie polegała choroba psa, nie miało więc sensu wtykanie termometru pod ogon by zmierzyć zamieranie duszy.

Pewnego wieczoru współlokator, który od żony dowiedział się o wydarzeniach u sąsiadki, zapukał i spytał czy może przyprowadzić przyjaciela ; tak się składa, że przyjaciel przypadkowo jest weterynarzem i przypadkowo właśnie dziś do nich wstąpił. Nic nie będzie kosztowało — powtórzył kilkakrotnie z budzącą podejrzliwość — niech więc panią o to głowa nie boli. Niski, chudy ślusarz w okularach przybrał tak obojętny i kamienny wyraz twarzy, że nawet ślepy byłby dostrzegł, że jest głęboko wzruszony. Dawno nie widział sąsiadki, dawno do niej nie zachodził i teraz z trudem ukrywał zdumienie na widok tego co ujrzał. Anczowa sama jakby się o dziesięć lat postarzała, pokój zaś, który przedtem był tak czysty i schludny jak szachownica, teraz — brudny, zakurzony, nieporządkny — zdradzał zupełne psychiczne rozprzężenie właścicielki i brak jakiegokolwiek wewnętrznej dyscypliny. Na całkowity zanik odporności wskazywało i to, że bez słowa sprzeciwu przyjęła ofiarowaną pomoc.

Weterynarz był przystojnym młodym człowiekiem, tylko straszliwie się jąkał. Ale jego bezustanna walka ze spółgłoskami wypłoszyła ponurą atmosferę, tak typową dla każdego mieszkanka, w którym przebywa chory. Postać lekarza promieniowała żywczliwością dla ludzi, zwierząt i mebli — jednym słowem dla całego świata; wszedł śmiejąc się wesoło, z kwiatkiem w butonierce, lekarską torbę postawił obok siebie na podłodze, sam zaś usiadł na rypсовym fotelu, gdzie w ciągu ostatnich lat — od czasu, gdy inżynier zniknął z domu — całymi dniami wylegiwała się Niki. Teraz suczki nie było widać, ukryła się pod szafą.

Spod tej szafy już nie wyszła. Widocznie w ostatnich godzinach życia uważała, że dosyć już miała doświadczeń z ludźmi i nie ciągnęło jej do nowych znajomości. Uparła się i żadne namowy nie były w stanie wywabić jej z ukrycia. Weterynarz położył się brzuchem na podłodze i długo próbował ręką wyciągnąć Niki spod szafy, ale nie mógł dosięgnąć do samej ściany; kiedy zaś poprosił o laskę, parasol lub szczotkę, Anczowa tylko potrząsnęła przecząco głową i walcząc z napływającymi łzami, ubłagała młodego człowieka by zrezygnował z wykurzenia suczki. Tego samego zdania był współlokator i położywszy ukradkiem kawałek wiejskiej kiełbasy na nocnej szafce, zabrał przyjaciela do swego pokoju.

Ta noc była dla Anczowej straszna. Na próżno przywoływała suczkę. Niki nie wyszła już spod szafy. Z początku jeszcze się trochę ruszała, ale kiedy Anczowa próbowała ją wywabić i w pewnej chwili, tracąc siły, nerwowo załkała, zwierzę zupełnie zamilkło. Po dłuższej chwili wsadziła pod szafę ręczną latarkę i zapaliła ją: pies leżał nieruchomo wyciągnięty, z łbem między przednimi łapami i z zamkniętymi ślipyami, nie reagując nawet na światło.

Koło północy Anczowa wreszcie się położyła, ale chociaż zgasiła lampę, nie mogła zasnąć. Wiemy, że samotność i nocny mrok działają na napięte nerwy jak ostre szarpnięcie i z cizy wywołują nieistniejące odgłosy, a z niczego tworzą przerażające wizje. Kobieta nie mogła pozbyć się myśli, że suka zdycha pod szafą, a może już nie żyje. Uspokajała się jak mogła tym, że Niki po południu wypita trochę mleka i że w ciągu dnia nie wydawała się ani bardziej zmęczona, ani bardziej smutna niż przez cały

ubiegły tydzień — ale czyż to czegokolwiek dowodziło? Nieraz słyszała, że zwierzęta w godzinie śmierci wstydliwie się chowają, a w tym pokoju gdzie się miała ukryć Niki jak nie pod szafą? Wstała, uklękła na podłodze, nasłuchiwała: nawet oddechu psa nie słyszała. Wołała go po imieniu, ale nie odezwał się.

Do łóżka nie wróciła, bo przecież i tak mowy nie mogło być o spaniu. Nie była w stanie się przemóc by leżeć w łóżku wtedy, kiedy Niki staczała ostatnią walkę ze śmiercią na gołej podłodze, w zakurczonym i zasnutym pajęczyną ciemnym kącie pod szafą. Gdyby suka mogła przynajmniej na swobodzie przeżyć ten końcowy etap swego życia, na miękkiej sypkiej ziemi, wydrapać sobie ostatnim ruchem miejsce we wspólnym grobie wszystkich żywych stworzeń! Anczowa z kobietą trzeźwością patrzyła na sprawy życia i śmierci — szczególnie teraz, kiedy dla niej samej życie nie przedstawiało wartości — ale mimo to nie zatraciła wrażliwości: wiedziała, że nie takie powinno być życie i nie taka śmierć. Jej własne poczucie beznadziejności pochodziło w dużym stopniu stąd, że nie mogła spełnić swego powołania kobiety — nie mogła pomóc żyć i umierać.

Do rana przesiedziała w brązowym rypсовym fotelu obok okna, przez które sączyło się srebrne światło latarni ulicznych. Przed świtem zdrzemnęła się z podświadomą nadzieją, że jej równy oddech wywabi psa spod szafy. Obudził ją jakiś głośny ruch w przedpokoju, usłyszała kroki i nagle ktoś bez pukania otworzył drzwi. Na progu stał jej mąż z bukietem żółtych kwiatków w ręce.

Teraz oboje milcząc stali obok szafy. Inżynier, który w ciągu ostatnich pięciu lat nie mało przeżył i z niezwykłym spokojem znosił najgorsze poniżenia i cierpienia fizyczne, widocznie pod wpływem wzruszenia spowodowanego powrotem do domu stracił zupełnie panowanie nad sobą: rozplakał się na wieść o śmierci psa. Było już bowiem zupełnie pewne, że Niki wydała ostatnie tchnienie i leży martwa pod szafą; gdyby było inaczej, czyż na dźwięk głosu swego pana nie wywlokłaby się stamtąd resztkami sił? Ancza, oparty ramieniem o szafę, ocierał łzy i patrzył na opuszczone legowisko psa, na którym poniewierała się skórka chleba. Żona czule objęła męża, myśląc tylko o jednym — że go odzyskała. Sto razy pytała

jak go zwolniono, kiedy go zawiadomiono o powrocie do domu, czy jest zdrow, czy by czegoś nie zjadł, czy nie ma ochoty położyć się i przespać. Inżynier w milczeniu ścisnął jej dłoń.

— Dowiedziałeś się w końcu za co cię trzymano w więzieniu ?

— Nie, — odrzekł. Nie powiedziano mi.

— A dlaczego cię teraz wypuszczono ?

— Nie wiem i tego.

Anczowa już się odwróciła od szafy. Wiedziała, że czeka ją jeszcze ciężki obowiązek, bo psa trzeba pogrzebać. Jediną pamiątką po jego krótkim życiu będzie dla niej kamyk znaleziony pod dywanem — w domu nie było nawet fotografii Niki.

KONIEC

ACHEVE D'IMPRIMER
LE 10 NOVEMBRE 1959
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD,
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e).

Dépôt légal : 4^e trim. 1959

Dar
Biblioteka Polska
Paryż

